Nr. 9 CENA 30 GR. Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem. ROK I

STAR

TYGODNIK ŻYDOWSKI
DLA SPRAW POLITYKI I KULTURY

Adres Redakcji i Administracji:
WARSZAWA
Królewska 29A, tel. 301-62
skrz. poczt. 113
KONTO P. K. O. Nr. 4.043

Godziny przyjęć: codziennie prócz sobót i niedziel — Redakcji 11.—13. Administracji 17—19.

Rękopisów nie zwraca się.

Numer zamyka się w środę

Królewska Nr. 29a.
egz
Jagiellońska
Kraków

Dziś w numerze:

Kleinbaum — Brandstaetter
Hartglas — Glücksohn
Schiper — Jessner
Leszczyński — Lessing
Gelber — Nussbaum

4 kwietnia 1937 WARSZAWA 23 Nissan 5697

Rozważania aktualne

Święta przerwały sezon polityczny, ożywiony sesją parlamentarną i tworzeniem obozu płk. Koca. Nastąpiła chwila ciszy i zastoju, chwila właściwa dla refleksyj, dla rachunku sumienia własnego i bardziej jeszcze — cudzego.

Jakiż jest plon sesji ciał ustawodawczych? — Dla Państwa parlament zdziałał nie wiele; uchwalił budżet bez znaczniejszych zmian, uchwalił przyjęcie pożyczki francuskiej, uchwalił dodatkowy budżet inwestycyjny, ale inicjatywy własnej nie podjął żadnej. Spełnił formalny obowiązek, ale nie zdziałał nic pozytywnego.

Dla społeczeństwa sesja ubiegła niczym się nie różniła od poprzedniej. Żadnej nowej idei nie rzucono z trybuny sejmowej, żadna twórcza myśl nie przeniknęła do mas z murów na ulicy Wiejskiej. Odwrotnie się stało: nic z parlamentu wyszły wskazania wychowawcze dla społeczeństwa, lecz z ulicy zgiełkliwej i wzburzonej przedostały się do izb hasła, posłusznie powtarzane z trybuny przez mianowańców, którzy na żadną myśl oryginalną zdobyć się nie mogli. A i hasła, zapożyczone od ulicy, nie pochodzą z głębokich i czystych nurtów społecznego prądu, lecz z szumnej powierzchownej a zanieczyszczonej piany. Hecę antysemicką uprawiano systematycznie na ulicy Wiejskiej, podsycając uliczne nastroje rasowej nienawiści i narodowościowego zadrażnienia. Nic przyczyniło się to atoli do spopularyzowania parlamentu nominatów w oczach żydożerczego motłochu, który p.p. Bakonom, Budzyńskim, Dudzińskim i Miedzińskim wciąż woła: mało, panowie, mało!...

Dla regime'u sesja stanowi pozycję raczej ujemną. Okazało się, że obóz sanacyjny, do którego należą wszyscy bez wyjątku parlamentarzyści z ordynacji igielnej, nie posiada własnej drogi wyjścia z obecnego kryzysu wewnętrznego Polski, nie posiada własnego zdania, własnego stanowiska w żadnej z wielkich spraw rzeczywistości polskiej. Większość ich starała się naśladować demagogię Stronnictwa Narodowego i O. N. R., mała garstka powtarzała — jak mogła — opinię opozycji lewicowej, ale opinia oryginalna obozu prorządowego zginęła gdzieś po drodze, nie znalazła ani jednego wyraziciela. A że parlament r. 1935 nie reprezentuje społeczeństwa i stanowi jedynie namiastkę przedstawicielstwa ludowego, miejsce wielkich walk społecznych zajęły w nim drobne utarczki, zatargi, swary, niesnaski, osobiste „szpileczki"; miejsce wielkich rozstrzygnięć — małostkowe kłótnie w rodzinie. Obecne izby miały być wcieleniem uzdrowionego parlamentaryzmu polskiego, który miał polegać głównie na tym, że władza wykonawcza należy niepodzielnie do Rządu, a tym jedynie aprobuje lub odrzuca całokształt polityki rządowej, nie wdając się w detale sprawowania władzy wykonawczej. I ta nadzieja okazała się płonna. Właśnie o detale władzy wykonawczej, o zarządzanie łasami państwowymi np., toczyły się zażarte boje — tu parlament mianowańców akurat pokazał swe pazury. Natomiast, gdy komisja i plenum Senatu odrzuciły wniosek zasadniczy Ministra sprawiedliwości o sądach przysięgłych, opowiedziawszy się tym samym przeciw jego kursowi, — nie starczyło autorytetu izbie wyższej, by jej dwukrotna decyzja pociągnęła za sobą jakieś konsekwencje. Genialny pomysł z niezawodną ordynacją zawiódł na całej linii.

Zato Obóz Zjednoczenia Narodowego ma przynieść odrodzenie zaufania społecznego do regime'u. Naczelną zasadą deklaracji płk. Koca jest solidaryzm społeczny. Między grupami wielkiego kapitału (przemysłowców i ziemian) a naczelnymi organami Sanacji („Gazeta Polska") tuż przed świętami doszło do ostrej wymiany zdań na temat podwyższenia cen. Padły ze stron obydwu obelgi i znieważenia. Obydwie strony zgłosiły były akces do O. Z. N. Obydwie strony stoją rzekomo na platformie solidaryzmu społecznego. Więc jak to jest naprawdę? Czy solidaryzm jednej ze stron „walczących" nie jest szczery, czy w ogóle solidaryzm jest konstrukcją ideową sztuczną i nieżyciową?

W niewyraźnej sytuacji znajdują się „nasi" żydowscy parlamentarzyści. Weszli do izb jako sojusznicy lub conajmniej jako sympatycy regime'u. Tak się ten regime wobec Żydów zaprezentował, że i oni musieli się „odpowiednio" zmienić i przyjąć ton oponentów. Znaleźli się więc w sytuacji przymusowych oponentów w towarzystwie dobrowolnych sojuszników. Skończyły się sympatie, powinno było się skończyć i „zasiadanie". Ale oni nadal zasiadają. Coś tu nie jest w porządku, coś poprostu nie sztymuje....

CALAMUS

Dr. M. KLEINBAUM

CZYN Dr. MILANA HODŻY

Niepostrzeżenie i prawie bez echa przeszła w Polsce na łamach prasy ogólnej i żydowskiej wiadomość o doniosłym wydarzeniu historycznym, jakim jest bez wątpienia deklaracja rządu praskiego o pozytywnym spełnieniu postulatów mniejszości żydowskiej w republice czechosłowackiej. Mamy teraz przed sobą pełny tekst deklaracji rządowej z dnia 13-go marca, oraz jej ocenę pióra miarodajnych przywódców żydostwa Czechosłowacji, które nie od rzeczy będzie przytoczyć niemal dosłownie.

Komunikat rządowy brzmi:

„Premier dr. Milan Hodża przyjął wczoraj przedstawicieli żydowskiej mniejszości narodowej, posła dr. Goldsteina, posła dr. Kugla i zastępcę prezesa Partii Żydowskiej w CSR, inż. Zuckera. Delegacja przedłożyła Przewodniczącemu Rządu memoriał i przedstawiła mu kulturalne, gospodarcze i socjalne żądania mniejszości żydowskiej. Przewodniczący Rządu stwierdził w odpowiedzi, że deklaracja Rządu z dn. 18-go lutego 1937 — odnośnie uregulowania polityki mniejszościowej — rozciąga się naturalnie także na mniejszość żydowską. Przedłożone żądania, które zresztą mieszczą się w ramach linii wytycznych polityki rządowej, Rząd uznał za uzasadnione i słuszne, i dlatego: przeprowadzi upaństwowienie szkolnictwa hebrajskiego; w projekcie przygotowywanej ustawy, wprowadzającej przymusowy odpoczynek niedzielny na terenie całej Republiki, uwzględni uczucia religijne ortodoksyjnej ludności żydowskiej: produktywna opieka społeczna nad młodzieżą żydowską, szczególnie na ziemiach wschodnich Republiki, prowadzona przez żydowskie instytucje samopomocowe, będzie popierana w równej mierze, co i u innych grup mniejszościowych. Również odnośnie pozostałych dezyderatów deklaracji obiecał Przewodniczący Rządu, że zostaną one załatwione na drodze administracyjnej pomyślnie i zadowalająco".

Tyle komunikat rządowy. A teraz jak przyjęło deklarację rządową żydostwo Czechosłowacji? — świadczy o tym artykuł wstępny w dodatku nadzwyczajnym tygodnika „Selbstwehr", organu centralnego tamtejszych syjonistów:

„Nowe posunięcia rządowe stanowią konkretyzację naszego zasadniczego prawa konstytucyjnego. Noszą one wyraźnie charakter ochrony, i to ochrony MNIEJSZOŚCI NARODOWEJ. Tym samym prawo mniejszościowe, przyznane narodowości żydowskiej w Konstytucji teoretycznie, staje się praktyczną rzeczywistością."

„Wciąż jeszcze tu i ówdzie odzywają się głosy, że prawo mniejszościowe dla jakiejś grupy tworzy dla niej właściwie prawo niższego stopnia; może pochodzi to nieporozumienie od pomieszania dwóch podobnie brzmiących określeń, „prawo mniejszościowe" i „prawo pomniejszone". W istocie stanowi prawo mniejszościowe nie pomniejszone, lecz — uzupełnione, nie minus, lecz plus — ochrony.

W tym zrozumieniu prawo mniejszości jest nawet istotną częścią składową demokracji w ogóle. Jądro demokracji polega na tym, że rozstrzyga większość; sprawiedliwość, bez której demokracja nie posiada podstawy moralnej, wymaga natomiast, by niektóre kwestie bytu mniejszości zostały wyjęte spod zwykłej decyzji większości i uniezależnione od chwilowej gry sił. Takimi minimalnymi prawami mniejszości są przede wszystkim uprawnienia natury narodowo-kulturalnej, socjalnej lub religijnej. Ściśle tych właśnie uprawnień domaga się Partia Żydowska, które to uprawnienia w tym najnowszym akcie rządu czechosłowackiego stały się faktem dokonanym."

Przeciwko syjonistycznej i zarazem prawdziwie demokratycznej tezie, że jedyną słuszną pozycją ludności żydowskiej w państwie jest pozycja MNIEJSZOŚCI NAROD., dają się słyszeć wszędzie, w Czechosłowacji, jak i w Polsce lub Rumunii — głosy sprzeciwu z dwóch stron: asymilatorzy twierdzą, że to oznacza uszczuplenie praw, a antysemici podnoszą, że to oznacza uprzywilejowanie. Przytoczone rozumowanie naszego bratniego organu praskiego zbija swą logiką i prostotą obydwa te zastrzeżenia. Rozumowanie to należy jeszcze uzupełnić jednym ważnym momentem: swobodnej decyzji o przynależności do danej grupy mniejszościowej, lub wyłączenia siebie z niej. Żydzi czechosłowaccy podkreślają ten moment na marginesie deklaracji rządowej:

„Nikogo się nie zmusza, by uczęszczał do szkół hebrajskich, lub zamykał w sobotę swój warsztat pracy. Ale kto się na to zdecydował z nakazu sumienia, czy to narodowo-historycznego, czy też religijnego, temu państwo daje ku temu możność bez narażenia jego interesów na szwank".

Ten oto czynnik wolnej, swobodnej decyzji oddziela grubą demarkacyjną linią — politykę narodowościową demokracji od polityki dysymilacyjnej hitleryzmu i rozlicznych jego naśladowców; autonomiczna i równouprawnioną odrębność od uciskanego i upośledzonego ghetta.

Znaczenie nowych zdobyczy narodowo-kulturalnych i gospodarczo - społecznych żydostwa czechosłowackiego, które i dotychczas korzystało z pełni OBYWATELSKIEGO równouprawnienia, wyjaśniają następujące zdania (tamże):

„Nasze szkolnictwo hebrajskie jest ową wielką nadzieją, zaczątkiem realnego odrodzenia kultury hebrajskiej, umożliwieniem rzeczywistego związania się z Erec-Izrael. Z upaństwowieniem hebrajskich szkół powszechnych, utrzymywanych dotychczas jako szkoły prywatne, stanęły one nie tylko na trwałej podstawie finansowej, ale też na wysokości publiczno-prawnie i zarazem moralnie uznanego szkolnictwa".

Skończył się w Czechosłowacji ten stan upokarzający i krzywdzący, że obywatel-żyd, pragnący wychować swe dziecko na członka swej społeczności narodowej, musiał płacić podwójnie: z jego podatków utrzymuje się ogólne szkolnictwo państwowe, a ponadto z jego kieszeni płynęły fundusze na utrzymanie szkół żydowskich, które zwalniają przecież państwo od kosztów kształcenia określonej liczby młodzieży żydowskiej. Upaństwowienie szkolnictwa hebrajskiego otwiera poza tym towarzystwu „Tarbut" w Czechosłowacji szerokie możliwości pracy oświatowo-wychowawczej.

Usunięta została też i druga krzywda, że obywatel żydowski, wierny tradycji świętowania soboty, zmuszony był odpoczywać dwa dni w tygodniu na korzyść jego konkurenta — chrześcijanina. Posłowie żydowscy wskazali premierowi Hodży na przykład Holandii, Anglii i państw skandynawskich, gdzie obowiązuje odpoczynek niedzielny przymusowy, a jednak zastrzeżone jest prawo czynienia wyjątków dla odpoczynku sobotniego Żydów.

Los i przyszłość młodego pokolenia stanowią pierwszą troskę narodów doby współczesnej, doby kryzysu i bezrobocia. Najsurowiej dotknięty jest i tą bolączką naród żydowski, którego młodzież nie dopuszczana jest nawet do tych nielicznych placówek pracy i zarobkowania, którymi rozporządzają narody większościowe. Również na tym odcinku nastąpił przełom w Czechosłowacji:

„W dziedzinie socjalnej zostało ułatwione jedno z najcięższych naszych zadań, zadanie produktywizacji młodzieży żydowskiej wschodnich ziem naszej Republiki, gdyż odtąd będzie ona uczestniczyła narówni z młodzieżą innych narodowości w świadczeniach państwowej opieki społecznej".

Podsumowując wszystkie tę zdobycze, konkluduje „Selbstwehr":

„Republika czechosłowacka przez wprowadzenie ochrony mniejszości żydowskiej dowiodła, że jest ona państwem naprawdę demokratycznym. Wskazaliśmy już wyżej: prawdziwa demokracja pojmowana być może tylko na podstawie sprawiedliwości; sprawiedliwość zaś wymaga, aby większemu prawu większości towarzyszyła ochrona praw mniejszości. Dopiero ochrona mniejszości tworzy z FORMALNEGO rozwiązania demokracji — principium MORALNE. Przez udzielenie tej ochrony także najsłabszej mniejszości wykazał rząd Republiki Czechosłowackiej, że zrozumiał jądro moralne Demokracji, i że gotów jest poznanie to wcielić w czyn".

Deklaracja dr. Milana Hodży wyzwoliła, rzecz oczywista, nowe zasoby energii patriotycznej w społeczeństwie żydowskim Czechosłowacji, zawsze tak bardzo do swego państwa przywiązanym. Świadczy o tym najwymowniej dwugłos obydwu posłów żydowskich do sejmu praskiego. Dr Angelo Goldstein kończy swą enuncjację tymi słowy:

„Nie leży w naszym zwyczaju uzewnętrznianie naszej lojalności w oświadczeniach i słowach; ale uważamy, że wyrazimy szczere uczucia reprezentowanej przez nas mniejszości tego państwa, gdy ogłosimy nasze wdzięczne zadowolenie z kroku Rządu. Wraz z nami świat demokracji i moralności oceni deklarację Premiera dr. Hodży jako czyn, podyktowany duchem prawdziwie demokratycznym i wolnościowym, tym bardziej, że niestety, w różnych innych państwach właśnie za naszych dni uzyskały przewagę inne poglądy, inne obyczaje."

Drugi poseł żydowski, działacz oświatowy z Rusi Podkarpackiej, dr. Chaim Kugel, tak kończy swój artykuł okolicznościowy:

„Nasza Republika jest wyspą demokracji w Europie Środkowej, a w tej demokracji, tak właściwej duszy czechosłowackiego człowieka, musiało nastąpić uznanie również i naszych praw. Deklaracja Rządu nakłada jednak na nas także OBOWIĄZKI zarówno wobec żydostwa, jak i wobec Republiki czechosłowackiej. Z radością przyjmiemy je na siebie. Krok naszego rządu zdoła zapewne wywołać radosne echo w żydostwie całego świata, oraz wzmocnić i pogłębić te sympatie, które dla Republiki Czechosłowackiej żywi żydostwo światowe".

Tak oto przedstawia się, w obiektywny sposób kronikarski opisany, ostatni zwrot w położeniu żydów republiki czechosłowackiej. W jednym tylko miejscu odbiegliśmy od obiektywizmu kronikarza, gdyśmy deklarację dr Hodży nazwali „doniosłym wydarzeniem historycznym". Usprawiedliwi nas kilka słów wyjaśnienia.

Krok rządu praskiego przypadł w okresie, gdy kwestia żydowska uległa nagłemu zaostrzeniu w całym szeregu krajów. W większości tych krajów stosuje się wobec Żydów za przykładem Adolfa Hitlera system eksterminacji; system dysymilacji i wytrącania nie tylko z życia narodu panującego, ale i z życia państwowego w ogóle; system wypierania z państwowego organizmu gospodarczego; system formalnego lub faktycznego ograniczania w obywatelskich prawach i odsuwania od współodpowiedzialności za państwo. Zdawaćby się mogło, że z Żydami nie można inaczej, gdziekolwiek tylko żyją w liczniejszej masie; że nie ma innego rozwiązania tej przeklętej kwestii żydowskiej, jak tylko Żydów brać za mordę, by się czym prędzej wynieśli, gdzie ich oczy poniosą. Nie trzeba wymieniać konkretnych przykładów, bo przecież tyle ich jest i tak dobrze znanych. A jeśli już komu koniecznie ilustracja jest potrzebna, to wskażemy mu choćby na przykład Rumunii.

Rząd p. Jerzego Tatarescu znalazł się w opałach. Opozycja prawicowa szturmuje jego gabinet, zakłóca porządek publiczny, dopuszcza się aktów gwałtu, każe studenterii urządzać awantury, chce zburzyć istniejący ustrój i regime. Posiada zaś ta brać reakcyjna, ta czarna falanga Vaidy, Cuzy, Gogi, Manoilescu, Codreanu i księżny Aleksandryny Cantacuzino — jedno hasło niezawodne, którym porywa ciemne masy rumuńskie, jedną broń najskuteczniejszą, którą pozbawia rząd oparcia społecznego. Tym hasłem, tą bronią jest ANTYSEMITYZM. Nie mógł dłużej zwlekać p. premier Tatarescu i zabrał się energicznie do rzeczy: zastosował represje wobec prawicowych opozycjonistów, i jednocześnie wyrwał im wiatr z żagli, przejmując cały ich program antysemicki i udzielając mu urzędowej sankcji. Antysemityzm rządowy różni się naturalnie od antysemityzmu takiej Żelaznej Gwardii (rozwiązanej po zamordowaniu ś. p. premiera Duca, istniejącej jednak dalej p. n. „Wszystko dla Ojczyzny") i jej dziczy studenckiej, która odcina liberalnemu profesorowi ucho, ale zato jest ten rządowy „kulturalny" antysemityzm bardziej „celowy" i „skuteczny", bo planowo wypiera Żydów z życia ekonomicznego. Projekt ustawy, wprowadzający w Rumunii „numerus proportionalis" we wszystkich dziedzinach gospodarki nawet prywatnej, ma zapoczątkować w Królestwie nową politykę wewnętrzną, opartą na przejętych od prawicowej opozycji, przesłankach rasistowskich przy jednoczesnym stosowaniu represyj wobec tej opozycji. Nagwałt się odtrąca milionowe żydostwo rumuńskie, które mogłoby przecież stanowić nadal pożyteczny żywioł obywatelski, przywiązany do Królestwa, pragnący ładu wewnętrznego, spokoju i bezpieczeństwa. Ale poświęca się milion obywateli, ich gotowość służenia ojczyźnie, ich świadczenia na rzecz państwa, ich talent i inicjatywę, — poświęca się zaś dla „ducha czasu", dla złowrogiego prądu, wychodzącego z Berlina, a zatruwającego atmosferę Europy.

Rumunia to tylko przykład — przykład klasyczny, typowy dla „modnej", współczesnej metody regulowania kwestii żydowskiej w szeregu krajów wschodnio- i środkowo-europejskich. I właśnie w tej chwili, gdy antysemityzm zdaje się powszechnie zyskać sankcję rządów, aprobatę urzędowej polityki państwowej, — przyszedł czyn dr. Milana Hodży, natchniony duchem Masaryka, zrealizowany pod prezydenturą mądrego Benesza. Europie pokazano, że można też INACZEJ uregulować stosunek wzajemny państwa i ludności żydowskiej, że można dać Żydom wszystkie prawa obywatelskie i autonomię narodowo-kulturalną, w dodatku, że można na nich polegać, jako na wiernych obywatelach i przyjaciołach państwa. Żydom w Diasporze pokazano, że może się im też dziać INACZEJ, że ucisk i poniżenie nie MUSZĄ być ich udziałem, że mogą sobie zdobyć pozycje równouprawnionej mniejszości narodowej. Pokazano, że może się to stać JEDYNIE w ustroju naprawdę DEMOKRATYCZNYM, i że prawa swe Żydzi zdobyć sobie mogą, gdy walkę swą prowadzą ramię przy ramieniu z demokracją narodu większościowego (do wyborów parlamentarnych w Czechosłowacji szli syjoniści demokratyczni i socjalistyczni w bloku z socjal-demokracją czeską, i ta polityka Partii Żydowskiej doprowadziła ją do ostatniego sukcesu). Na tym stworzeniu nowego wzoru, nowego stylu w kwestii żydowskiej polega doniosłe historyczne znaczenie czynu dr. Milana Hodży.

Nie ukrywamy nic. Mówimy otwarcie, powtarzamy stale i uporczywie: wysuwamy i my, Żydzi polscy, te same postulaty, co nasi bracia w Czechosłowacji, — i wierzymy w ich spełnienie na tej samej drodze, na jakiej do tego doszli syjoniści Czechosłowacji: na drodze wspólnej walki z całym obozem demokratycznym w kraju o sprawiedliwość w państwie. Wierzymy, że służymy w ten sposób nie tylko społeczeństwu żydowskiemu, ale i Państwu Polskiemu. Bowiem tylko państwo wewnątrz sprawiedliwie rządzone, zdobyć może nazewnątrz moc i potęgę.

Leopold Halpern

Sprawa narodowościowa pod rządami autorytatywnymi

Kwestia narodowościowa w Europie, której zaognienie w pierwszych dziesiątkach lat naszego stulecia było jedną z głównych przyczyn wojny światowej, istnieje nadal. Zwycięskie demokracje zachodnie, ustalając na konferencji pokojowej w Paryżu zasady nowego porządku politycznego świata, zajęły się sposobami usunięcia także tej choroby naszej części świata — ale nie usunęły jej całkowicie.

Idealnym rozwiązaniem zagadnienia narodowościowego byłoby oczywiście obdarzenie każdego dojrzałego kulturalnie i politycznie narodu własnym państwem. W tej płaszczyźnie Traktat Wersalski oznacza znaczny postęp, aczkolwiek jeszcze nie stan idealny. Ale nawet przyznanie niezawisłej państwowości wszystkim narodom europejskim nie rozwiązałoby całkowicie sprawy narodowościowej. Teoretycznie bowiem byłoby to możliwe wtedy tylko, gdyby narody pokrywały się całkowicie z państwami, t. j. gdyby nie tylko *każdy naród miał swoje państwo*, ale także w *każdym państwie byłby tylko jeden naród*. Byłby to stan idealny — ale na tle realnych warunków etnograficznych nie możliwy do osiągnięcia. Żadna rewizja istniejących granic nie może być środkiem, wiodącym do tego celu, albowiem przywracając jedną grupę mniejszościową państwu macierzystemu, równocześnie odrywałaby inną (lub inne) grupy narodowościowe od ich państw ojczystych w sensie narodowym.

Nie jest więc błędem systemu wersalskiego, że nie potrafił *usunąć całkowicie* sprawy mniejszościowej. Natomiast należy mu zarzucić, że stając (słusznie zresztą) na gruncie obiektywnej konieczności istnienia w licznych państwach t. zw. mniejszości narodowych, nie zdołał zabezpieczyć w sposób należyty, pełny i trwały warunków ich normalnego rozwoju. Albowiem to, co ustanowiono w tej dziedzinie w Wersalu było *połowiczne*, było *wyjątkowe*, było *kruche*. Kilka dowolnie wybranych i frangmentarycznie potraktowanych praw, zawartych w t. zw. traktatach mniejszościowych, to tylko marna namiastka ustawodawstwa międzynarodowego, któreby służyło zaspokojeniu rzeczywistych specyficznie narodowych, potrzeb mniejszości. Do tego jeszcze „prawa" te odrazu napiętnowano stygmatem wyjątkowości, nadając je tylko niektórym państwom, co pozbawiło mniejszości w państwach nie-„traktatowych" możliwości korzystania nawet z tego minimum ochrony, z drugiej zaś strony stało się dla państw traktatowych bodźcem prestiżowym w kierunku odrzucenia „narzuconych" zobowiązań. Gwarancje prawne nie wystarczyły ani dla zapewnienia wykonywania traktatów mniejszościowych, ani dla uniemożliwienia ich jednostronnego znoszenia.

Tak oto wygląda bilans grzechów systemu wersalskiego w sprawach narodowościowych. A że traktat uważany jest za dzieło zachodnich *demokracji* (ustrojowo i formalnie państwa ententy były istotnie demokratyczne), więc słusznie, czy niesłusznie zapisuje się te grzechy na konto *demokracji*, jako idei politycznej. W walce o władzę faszystowskich opozycji, która w latach ubiegłych trwała w kilku państwach demokratycznych, krytyka i wypominanie tych grzechów odegrały wcale niepoślednią rolę, przyśpieszając w pewnej mierze zwycięstwo systemów autorytatywnych.

Cóż więc zdziałali w dziedzinie narodowościowej zwolennicy systemu autorytatywnego, po osiągnięciu zwycięstwa w niektórych krajach? A jeśli dotąd nic pozytywnego zdziałać nie zdołali, to co zdążyli już popsuć, pogorszyć? Wreszcie zasadnicze pytanie: jakie są w ogóle obiektywne perspektywy ewolucji kwestii narodowościowej pod rządami autorytatywnymi?

Szukając najpierw teoretycznej odpowiedzi z ust rzecznika takich rządów, spotkaliśmy się z pracą prof. dra G. A. Walza z Wrocławia p. t. *„Minderheitenrecht oder Volksgruppenrecht?"* Nie jesteśmy odpowiedzią tą rozczarowani, albowiem niczego innego spodziewać się nie mogliśmy. Narodowo - socjalistyczny profesor pisze: „Dawne prawo mniejszości należy jeszcze jako podstawowa część składowa do obowiązującego stanu prawnego międzynarodowego, a Niemcy nacjonal-socjalistyczne nie są skłonne zejść z tej placówki prawnej, zanim urzeczywistnią swoje własne myśli prawne na rzecz ochrony grup narodowych w nowym stanie prawnym międzynarodowym". A więc spodziewaliśmy się tego odrazu po faszystowskich reformatorach: nic własnego w dziedzinie pozytywnej dotąd nie stworzyli, więc muszą tymczasem trzymać się starych praw, z braku czegoś lepszego.

Bardzo pięknie, ale jakie są, chociażby teoretyczne plany nacjonal - socjalistycznych teoretyków narodowościowych? Prof. Walz odpowiada posługując się metodą negatywną: „Wadą prawa dotychczasowego jest zasada równości i równouprawnienia z r. 1789. Ponieważ zaś zasady te mówią o prawach jednostki, więc także w ochronie mniejszości widzą jednostki, a nie grupy narodowościowe, jako odrębne całości". Krótko: hitlerowski profesor chciałby, aby prawa mniejszości nie były sumą praw indywidualnych, ale prawem grupowym, przysługującym grupie narodowościowej, jako całości. Do recepty tej można zastosować znane powiedzenie, że wszystko, co jest w niej dobre, nie jest nowe — wszystko zaś, co jest nowe, nie jest dobre. To przecież właśnie socjaldemokratyczny teoretyk zagadnienia narodowościowego, *dr. Karl Reuner* jeszcze przed wojną zwrócił uwagę, że prawa indywidualne nie wystarczają, że *obok* nich winny być ustanowione grupowe prawa narodowościowe. Ale żeby zasada wolności i równouprawnienia Wielkiej Rewolucji Francuskiej miała być wadą prawa dotychczasowego? Chcielibyśmy bowiem wiedzieć, jaką wartość mogą mieć prawa grupowe, nieoparte o prawa indywidualne, ba, wręcz je wykluczające? W dziedzinie teoretycznej — są to puste frazesy; w dziedzinie politycznej jednak — niebezpieczne chwyty taktyczne, których ostrze skierowane jest *przeciw* najżywotniejszym interesom mniejszości.

Przypatrzmy się więc *politycznej praktyce* systemów autorytatywnych na odcinku narodowościowym, a dowiemy się, jak bardzo systemy te zaszkodziły sprawie mniejszości, jak silnie ją zaogniły, jak **lekkomyślnie... zburzyły to**, co dotąd osiągnięto.

Przede wszystkim na odcinku ochrony części własnego narodu, znajdujących się po za granicami państwa ojczystego, a więc stanowiących mniejszości narodowe w obcych państwach. Nad krzywdą tych właśnie grup najgłośniej przecież lamentowano, ich „obudzenie" i „wyzwolenie" najpatetyczniej ślubowano w takim n. p. obozie nacjonal-socjalistycznym w okresie, gdy rwał się do władzy. Cóż więc uczyniono dla własnych rodaków zagranicznych po dorwaniu się do upragnionej władzy? Obdarzono ich „nową" *teorią*. Chodzi tu o podkreślenie jedności **narodowej, a zarazem** *politycznej* narodu niemieckiego w Rzeszy i na całym świecie, bez względu na to, w granicach jakiego państwa poszczególne części jego przebywają. I znów niech nam wolno będzie przypomnieć powiedzenie, któreśmy już raz zastosowali w odniesieniu do wywodów prof. Walza. Uważamy bowiem, że idea jedności narodowej jest stara, jak świat — natomiast koncepcja jedności politycznej jest *zła, niebezpieczna, szkodliwa*.

Cóż oznacza bowiem przetłumaczona na realny język polityczny rasowo-mistyczna koncepcja przypisywania potencjalnego obywatelstwa Rzeszy Niemcom z Czechosłowacji, Polski, krajów bałtyckich czy nawet Ameryki? Czym pachnie romantyczna idea jakiejś mistycznej Rzeszy, której granice nie są związane z terytorium, a sięgają tak daleko, jak daleko dotarli Niemcy na przestrzeni całej kuli ziemskiej? Polityka realna rozumie takie „ideały" i „koncepcje".... Nie chcemy w tym miejscu kruszyć kopii w imię wykazywania absolutnej nierealności takich karkołomnych iluzji. Przypuszczamy na jedną chwilę, że plany te Niemcom udadzą się do pewnego stopnia. Co wtedy stanie się z tymi milionami innoplemieńców, któreby się znajdowały w rozszerzonych granicach Rzeszy, jak rozwiąże się tę nową kwestię mniejszościową? Podkreślamy, pozostając w ramach dotychczasowego biegu myśli, pytanie to stawiamy nie tylko z punktu widzenia tych *mniejszości*, które nagle znajdą się w ramach rasistowsko-ekskluzywnego państwa autorytatywnego — ale także ze stanowiska tegoż właśnie *państwa*, które przecież konsekwentnie nie życzy sobie jakiegokolwiek znaczniejszego przypływu obcych narodowo-elementów. Cóż bowiem może począć państwo totalne i rasistowskie z milionami obcych?

Tak oto dochodzimy do szukania odpowiedzi na dalsze pytanie, spośród tych, które postawiliśmy już pod adresem polityki narodowościowej rzędów autorytatywnych: *jak rozwiązać sprawę obcych mniejszości u siebie w państwie? W tej* dziedzinie konto systemu totalnego jest obniżone najbardziej. Już nie jedną złą i niebezpieczną teorię stworzono na tym odcinku, ale dziesięć różnych i krańcowo sprzecznych. Bo proszę sobie tylko przypomnieć: bezwzględna wyższość rasy germańskiej także w stosunku do innych odgałęzień aryjskich i — pozostawienie, z konieczności, praw politycznych nie germańskim aryjczykom, a więc także słowian; oświadczenie kanclerza Hitlera o tolerowaniu obcych odrębności narodowych i nie dążeniu do asymilowania i — germanizowanie kulturalno-polityczne mniejszości polskiej, przysięganie na koncepcję dyssymilacji i — wcielanie młodzieży polskiej do „Hitler-Jugend". Chaos, sprzeczności i bezradność w obliczu .. kwadratury koła!

Albowiem kwadraturą koła jest rozwiązywanie sprawy narodowościowej pod rządami autorytatywnymi. Tam, gdzie ideałem najwyższym jest gleichszaltowanie, tam, gdzie podstawą systemu jest bezwzględna karność, tam, gdzie wszystko musi być tak jednobarwne, tak proste, tak zwarte, jak szeregi maszerującego wojska — tam nie ma, tam być nie może miejsca dla istnienia odrębnych indywidualnych, różnobarwnych grup narodowościowych. Etnograficzna ewolucja Europy zechciała jednak, aby grupy te istniały i wbrew jakimkolwiek teoriom czy praktykom rządów autorytatywnych — będą one istnieć nadal.

Rządy autorytatywne nie są zdolne do rozwiązania kwestii mniejszości narodowych, ale zarazem nie potrafią się ich pozbyć, nie potrafią ich zgleichschaltować, nie potrafią połknąć. Przeczuwamy: kwestia narodowościowa będzie dla rządów autorytatywnych orzechem nie możliwym do rozgryzienia....

Dr. N. M. Gelber

W 10-lecie zgonu Luzzatti'ego

NIEZNANY LIST LUZZATTI'EGO DO SOKOŁOWA

Luigi Luzzatti, potomek starodawnej, frankońskiej rodziny żydowskiej we Włoszech, dopiero pod wrażeniem prześladowań Żydów w Rosji i w Rumunii w ostatnich trzech dziesięcioleciach ubiegłego wieku, poczuł się interesować losami Żydów. We Włoszech, gdzie zupełna emancypacja Żydów przeprowadzona została jeszcze w drugiej połowie dziewiętnastego wieku, nie odczuwał Luzzatti ciężaru swego żydostwa. Dopiero prześladowania Żydów wschodnio-europejskich wywołały w nim potrzebę zapoznania się z problematem żydowskim. Aczkolwiek później Luzzatti pozytywnie ustosunkował się do kwestii żydowskiej, nie miał on jednak zbyt wielkiego i głębokiego zrozumienia dla dążeń syjonizmu. To też Herzl — w czasie pobytu swego w Rzymie, gdzie przyjął go na audiencji król włoski Wiktor Emanuel II (dnia 23 stycznia 1904), — nie szukał kontaktu z Luzzattim, obawiając się, że tenże nie mając głębokiego zrozumienia dla jego sprawy, gotów będzie pokrzyżować jego akcje polityczne na terenie wołskim.*)

Dopiero krótko przed wojną światową i w czasie jej trwania, udało się pozyskać Luzzattiego dla sprawy kolonizacji żydowskiej w Palestynie. Zasługa ta przypada Nahumowi Sokołowowi, który w latach 1910—1914 kilkakrotnie stykał się z Luzzattim i informował go o dążeniach syjonizmu a w szczególności o pracy kolonizacyjnej w Palestynie.

Podczas wojny, gdy sprawa uznania praw Żydów do Palestyny stała się aktualna i chodziło o pozyskanie całej Ententy dla deklaracji, przyznającej Żydom Siedzibę Narodową w Palestynie, uważał Sokołow za stosowne zaagitować Luzzattiego dla dążeń syjonizmu i posłużyć się jego wpływami; a należy zaznaczyć, że Włochy od chwili, gdy Palestyna uznana została jako część integralna programu wojennego całej Ententy, usilnie starały się o uzyskanie dla siebie odpowiedniej pozycji w Palestynie.

W początku r. 1917 włoski minister spraw zagranicznych Sonino na wiadomość o ofensywie wojsk angielskich i francuskich w Palestynie zażądał nawet wylądowania razem z wojskami Ententy oddziałów włoskich w Palestynie, nie chcąc dopuścić, by Anglia i Francja same zdobyły Palestynę. Z pomocą Rosji czynił też Sonino wysiłki, by zapewnić Włochom odpowiednie pozycje przy podziale Turcji i dlatego też niechętnie widział układ Sykes — Picot'a dotyczący odgraniczenia sfery angielskiej i francuskiej w Syrii (włącznie z Palestyną). By pokrzyżować ewentualne skutki praktyczne tych układów, nawiązywał Sonino ciągłe kontakty z Rosją, w nadziei, że odstraszy to Anglię i Francję od izolowania Włoch.

Dopiero upadek rządów Kereńskiego w Rosji zmusił Italię do uznania stworzonego fait accompli. Poczęto więc szukać drogi do porozumienia z Anglią i Francją, w obawie, by nie ominęły one zupełnie Włoch przy uregulowaniu kwestii terytorialnych na zdobytych obszarach w Azji. Z drugiej strony upadek Rosji wzmocnił pozycję Włoch. I tak doszło w sierpniu 1917 r. do porozumienia angielsko - francusko - włoskiego w Saint Jean de Maure, gdzie w specjalnej umowie uregulowano wszelkie kwestie związane z podziałem Turcji, w szczególności w Małej Azji; wskutek tego Włochy uznały układ Sykes —Picot'a wraz z wszelkimi umowami, które doprowadziły do deklaracji Balfoura.

Fakt ten wytworzył dla ruchu syjonistycznego potrzebę skomunikowania się z państwem włoskim. W tej akcji politycznej pomógł Luzzatti, który w sposób jeszcze bardziej zdecydowany uznał konieczność kolonizacji żydowskiej w Palestynie.

W kwietniu 1917 r. udaje się Sokołow za poradą rządu francuskiego i za zgodą rządu angielskiego do Rzymu, gdzie zostaje przyjęty przez premiera włoskiego Boselli'ego.

W czasie pobytu Sokołowa we Włoszech, Luzzatti staje do jego politycznych dyspozycyj. Nie uznaje wprawdzie Luzzatti programu maksymalnego syjonizmu i sprzeciwia się stworzeniu państwa żydowskiego w Palestynie, ale mimo to jest za tym, by Palestyna została uwolniona z pod jarzma tureckiego i aby utworzono tam liberalny rząd pod ochroną Anglii, Francji lub Włoch, któryby dał Żydom możność i gwarancję wolności politycznej i administracyjnej po myśli żydowskiej kolonizacji.

Swoje stanowisko skreślił Luzzatti w liście do Sokołowa z dnia 10 maja 1917. List poniżej podajemy.**) Z listu tego wynika, że Luzzatti mimo negatywnego ustosunkowania się do syjonizmu, był wielkim przyjacielem sprawy palestyńskiej.

On też pomógł Sokołowowi w pertraktacjach jego z Boselli'm, które doprowadziły też do uzgodnienia stanowiska Włoch ze stanowiskiem Francji i Anglii w sprawie Deklaracji Balfoura.

Boselli wydał też deklarację, w której ogłosił, że rząd włoski wraz z Francją i Anglii poprze program syjonistyczny. Luzzatti i po wojnie bardzo interesował się odbudową Żydowskiej Siedziby w Palestynie.

LIST LUZZATTI'EGO DO SOKOŁOWA

IZBA DEPUTOWANYCH.

Rzym. dn. 10 maja 1917 r

Drogi Panie!

Jak Panu wiadomo, jestem przeciwnikiem Palestyny żydowskiej o ustroju monarchicznym czy republikańskim, albowiem wznieci ona niechęć wszystkich odłamów chrześcijaństwa; stanowi ona obecnie marzenie niewykonalne. Lecz jeśli, jak wszyscy się spodziewamy, Palestyna zostanie wyzwolona z pod jarzma tureckiego, które zostanie zastąpione przez rząd liberalny (bądź to angielski, włoski czy francuski), wówczas Żydzi będą mogli przy zagwarantowaniu swobód politycznych i administracyjnych, uprawiać w Palestynie ziemię, którą umieli uczynić kwitnącą! Lecz aby wyłączyć wszelkie słuszne podejrzenia — miejsca święte winny być na zawsze wyłączone ze strefy ich akcji rolniczej.

Metoda Chartered Societies, którą Anglicy zastosowali w kilku koloniach mogłaby być dobra, jak mi Pan właśnie zaznacza, i możnaby ją zastosować nie tylko w Palestynie, lecz również gdzieindziej.

Proszę przyjąć, drogi Panie, wyrazy moich najlepszych uczuć.

(podpisany): Luigi Luzzatti.

Jeśli Pan spotka w Petrogradzie p. Miliukowa, proszę wyrazić mu nasz głęboki żal z powodu jego nieobecności w rządzie, w którym reprezentował demokrację i porządek. Mamy nadzieję, że powróci on do władzy i jego działalność umocni państwa liberalne świata. Lecz i poza rządem będzie on mógł zawsze wywierać wpływ zbawienny na Rosję.

*) Warto zaznaczyć, że już w r. 1851 wystąpił Włoch Benedetto Musolino (1809—1885) z projektem założenia państwa żydowskiego w Palestynie (zob. moją książkę „Chassidej Umoth Haolam bmwassrej hatehija", Jerozolima 1931. str. 110—113).

**) Centralne archiwum org. syjon. w Jerozolimie: akta polityczne fasc. 1731.

Dr. M. Glücksohn

Ostrzegamy rząd!

Artykuł poniższy, napisany przez naczelnego redaktora tel-awiwskiego „Haarec", spowodował zawieszenie tego pisma przez rząd palestyński na pewien okres czasu.

Redakcja.

Jeśli także obecnie, po ostatnich krwawych rozruchach w kraju, po licznych a różnorodnych znakach, zwiastujących nieszczęście być może gorsze od dotychczasowego, po tym straszliwym „Mana, Tekel, Fares", wypisanych w ostatnich tygodniach na naszych zachmurzonych niebiosach — jeśli nawet po wydarzeniach dni ostatnich, jeśli po tym wszystkim rząd tego kraju nie ocknie się z błogiego snu, w którym pogrążony już jest od całego roku, jeśli nie spełni wreszcie swego pierwszego obowiązku: nie będzie rządzić krajem, bronić spokojnych obywateli, przestrzegających prawa i porządku, tak Żydów jak i Arabów, strzec bezpieczeństwa ich życia, ich zdrowia, ich dobytku i pracy; jeśli także jutro i pojutrze, podobnie jak wczoraj i onegdaj, nieszczęsny ten kraj pozostawiony będzie samoobronie na pastwę zbrodniarzy i rozbójników; jeśli także jutro i pojutrze będą swobodnie chodzić po kraju uzbrojeni bandyci, wolni od jakichkolwiek ustaw i praw, nie narażeni na karę; jeśli prasa arabska będzie mogła nadal podburzać i judzić, jeśli naczelni podżegacze, „wodzowie narodu", członkowie Naczelnego Komitetu Arabskiego i ich wysłannicy w miastach i wsiach, będą mogli nadal prowadzić bez przeszkód dzieło burzenia; jeśli ręką prawa i sądu także jutro i pojutrze nie dosięgnie zbrodniarzy czy to z powodu niedbalstwa policji, czy sabotażu, czy też z powodu błędów formalnych i przyczyn proceduralnych; jeśl rząd tego kraju będzie nadal popierać terrorystów i podżegaczy w drodze wydawania błędnych informacji o wydarzeniach w kraju i przez umożliwianie im powoływania się na to, że sympatia rządu jest po ich stronie; jeśli urzędnicy pochodzenia arabskiego i angielskiego będą nadal popierać buntowników i wynagradzać zbrodnicze czyny przez popieranie żądań buntowników — jeśli taki będzie stan kraju jutro i pojutrze, po bolesnym doświadczeniu jedenastu krwawych miesięcy, a podżegacze i zbrodniarze będą mogli mieć przekonanie, że „rząd jest z nimi", albo zgodnie z nową wersją, że „nie ma rządu w kraju" —wówczas stoimy w obliczu tak strasznego nieszczęścia, że równego mu nie znał jeszcze po dzień dzisiejszy ten kraj nieszczęsny.

*

Wiele znaków wskazuje na to, iż nieszczęściem dla tego kraju, jest to, że ci, co stoją dzisiaj u steru, trzymają się nadal swego „systemu", a więc to co było będzie dalej. Na pośmiewiska i na szyderstwo został wystawiony rząd tego kraju nie tylko w oczach jego mieszkańców (zarówno buntowniczych, jak i praworządnych), ale także na szerokim świecie, w Anglii, w opinii publicznej i w Izbie Gmin. Mimo to rząd ten pozostaje „wierny sobie", trzymając się swego złego systemu z upartością, niespotykaną w ogóle w tym realistycznych narodzie. Żadna burza, żaden piorun nie może wyrwać rządu z jego fatalnej bierności. Społeczeństwo żydowskie w kraju, wielka prasa angielska, posłowie do Izby Gmin wskazywali na straszliwe niedbalstwo rządu w sprawie rozbrojenia zbrodniarzy i buntowników — ale nic nie zdołali wskórać. Podobnie jak nie odebrano broni uzbrojonym bandom w okresie „strajku", tak też nie uczyniono nic, po wszystkich krwawych wydarzeniach ostatnich tygodni, w kierunku usunięcia wiszącego nad nami nieszczęścia uzbrojonych terrorystów. Wracamy znów do atmosfery ubiegłej wiosny — a nasz rząd wciąż jeszcze „czeka" na rozwój wypadków. Nikt nie może wiedzieć, czy ostatnie krwawe wydarzenia są ostatnimi chmurami po burzy, owocem poprzednich rozruchów, czy też stoimy w obliczu nowych masowych rozruchów — a rząd krajowy czeka. Pocieszaliśmy się, że arabscy przywódcy nie są teraz zainteresowani w wybuchu nowych zaburzeń, woląc chwilowo czekać na wnioski Komisji Królewskiej. Lecz oto rzeczywistość rozwiała te optymistyczne przypuszczenia. Czyżby więc przywódcy stracili wpływ na swych zwolenników, a „władza" przeszła w ręce innej grupy terrorystów? Czy starzy przywódcy wybiorą nową metodę „terroru indywidualnego", którego skutki nie byłyby mniejsze od skutków akcji masowej — ponieważ metoda ta nie daje pola do zastosowania energicznej akcji militarnej i stanu wojennego? Albo może te „sporadyczne" akcje są zaczątkiem i pierwszymi oznakami nowych rozruchów masowych? Tak czy owak — rząd czeka, wojsko czeka, policja „bada", a prosty obywatel traci resztę wiary w zdolność i wolę krajowego rządu do obrony jego życia, zdrowia i majątku...

*

Wszystko odbywa się tak, jak przedtem. Potęguje się system tendencyjnych komunikatów oficjalnych. Nie pomogły protesty „Jiszuwu", nie pomógł protest delegacji Waad Haleumi przeciw oszczerstwu, zawartemu w oficjalnym komunikacie o wydarzeniach w Tyberiadzie, nie pomógł też protest Wedgwooda w Izbie Gmin, a minister kolonii powtórzył i potwierdził kłamliwy wołający o pomstę do nieba komunikat. Jakie więc to może wywołać wrażenie na „przywódcach" w kraju, znających przecież prawdziwy przebieg wydarzeń? Jakie wnioski wyciągną z tego poparcia, którego im się jawnie udziela? „Rząd z nami" — albo też: „rząd boi się nas i nie chce z nami zadzierać". Tymczasem prasa arabska robi swoje — niepohamowana heca rozwija się w całej pełni Rząd „czeka", wojsko czeka, a prosty obywatel widząc słabość i zaniedbywanie obowiązków przez władzę, traci równowagę, traci wiarę w prawo i zmuszony jest szukać innych dróg „przystosowania się" do sytuacji.

Czyż naprawdę mamy stracić nadzieję, że wreszcie nadejdzie kres dla tego straszliwego milczenia naszego rządu?

Jakub Leszczyński

LICZBA ŻYDÓW NA ŚWIECIE

Nie do pozazdroszczenie jest los statystyka żydowskiego — nie dość, że pracuje w gorszych warunkach materialnych, bo my, Żydzi, nie mamy przecież własnych urzędów publicznych, ale jeszcze do tego skazany jest na operowanie gorszym materiałem biurowym. Nie raz statystyka żydowskiego ogarnia zwątpienie — tak często przecież wypada mu opierać się na szacowaniu i hypotezach, tak dużo musi kombinować, by w końcu stanąć w obliczu nieścisłości i wątpliwości.

Oto są główne trudności na drodze ustalenia samej tylko liczby Żydów na świecie w pewnym określonym czasie:

Opracowaliśmy właśnie tabele statystyczne o liczebności Żydów w 74 państwach i krajach, ale tylko w odniesieniu do 41 krajów rozporządzaliśmy liczbami, opartymi na spisach ludności. Pozostają więc 33 kraje, w których przebywa do 6 milionów Żydów; liczebność ich musieliśmy ustalić, posługując się oszacowaniami, opartymi na najrozmaitszych zasadach. Często jednak statystyk żydowski nie rozporządza nawet takimi oszacowaniami, więc musi sam zabrać się do szacowania. Ale nawet spisy ludności, które dostarczają urzędowych danych o liczebności Żydów, były przecież przeprowadzone w tych 41 krajach w rozmaitych okresach czasu. Tak n. p. ostatni spis ludności na Litwie miał miejsce w r. 1923; w Rosji Sowieckiej: w r. 1926; w Turcji: w r. 1927; w Polsce w r. 1934; na Łotwie zaś w r. 1935. A rezultaty, dotyczące podziału ludności według wyznania albo języka, nie są jeszcze po dzień dzisiejszy ogłoszone. Oszacowania, dotyczące niektórych innych krajów, także pochodzą z różnych okresów czasu.

Gdybyśmy rozporządzali mniej lub więcej dokładnymi danymi o ruchu naturalnym Żydów w większości państw, a także o ich wędrówkach z kraju do kraju, moglibyśmy już obliczyć przyrost albo ubytek w poszczególnych krajach. Ale w tej kwestii sytuacja jest jeszcze smutniejsza. Ilość krajów, co do których mamy ścisłe wiadomości, dotyczące żydowskiego ruchu naturalnego, jest znacznie mniejsza od ilości krajów, w których liczebność Żydów ustala się w spisach ludności. Tak n. p. Rosja Sowiecka zaniechała w ostatnich latach ogłaszania drukiem wiadomości o narodzinach i zgonach Żydów; liczby, ilustrujące przyrost naturalny i śmiertelność Żydów polskich, są bardzo błędne; o Żydach amerykańskich prawie że w ogóle nie posiadamy wiadomości z tej dziedziny. Jeśli o liczebności Żydów posiadamy dane spisów ludności dla przeszło 10 milionów Żydów, to odnośnie do ruchu ludności mamy tylko dane, które dotyczą 3 milionów Żydów, a wraz z Polską — 6 milionów. Nie lepiej też przedstawiają się dane, ilustrujące liczebnie emigrację żydowską.

I oto, mimo tak mało sprzyjających warunków, chcieliśmy mimo wszystko zrobić bilans naszej liczebności na całym świecie. Dla osiągnięcia tego zadania należy przed tym przemyśleć i opracować materiały, dotyczące poszczególnych krajów, a także dobrze ocenić te wszystkie momenty, które wpływają na wzrost albo zmniejszanie się liczby Żydów. Rozumie się, że po tej trudnej pracy pozostaje u nas wątpliwość, czy wszędzie wiernie ważyliśmy, czy nie przechyliliśmy czasem szali w jedną albo drugą stronę.

Dając wyraz tym wątpliwościom publicznie, popełniamy to ryzyko, że czytelnik gotów jeszcze stracić zauanie i respekt dla statystyki żydowskiej, która obiektywnie jest skazana na tak smutny los. Ale byłoby to krzywdzące. Albowiem statystyka jest tylko *ilustracją* pewnych zjawisk życiowych. Statystyka oswietla, pogłębia, ustala *granice i skale* zjawisk życiowych, ale rzadko tylko sama wyjaśnia istotę tych zjawisk. Jest ona raczej metrem do odmierzania, metodą oceniania zjawisk, niż systemem samodzielnych badań. Skoro zaś podchodzimy do statystyki w ogóle z takim właśnie nastawieniem, zmienia się też nasz stosunek do statystyki żydowskiej.

Ostatnio opracowaliśmy tabele statystyczne, wykazujące, że *mamy na całym świecie w przybliżeniu 16.250.000 Żydów*. Pamiętając to, cośmy wyżej powiedzieli o naszych źródłach, można z czystym sumieniem przypuszczać, że liczby nasze nie mogą pretendować do absolutnej ścisłości. Jest tedy bardzo prawdopodobne, że mamy o 100,000 Żydów więcej lub też mniej, niż wyżej podaliśmy. Opierając się na dobrej znajomości źródeł oraz metod szacowania i hypotez, pozwalamy sobie wyrazić przypuszczenie, że *prawda o liczebności Żydów leży w granicach pomiędzy 16.150.000 a 16.350.000*.

Oczywiście, że byłoby lepiej, gdybyśmy mogli otrzymać ścisłe, absolutnie dokładne wiadomości, jak to się dzieje u większości narodów kulturalnych na świecie. Ponieważ jednak nie jest to możliwe, należy sformułować pytanie nieco inaczej: czy te, niezupełnie ścisłe dane, posiadają praktyczne znaczenie? Możemy z całą pewnością powiedzieć, że *tak*.

Czegoż bowiem chcemy się nauczyć z podanych przez nas liczb? Weźmy da przykładu kilka ogólnych wniosków, wypływających z naszej tabeli. Przede wszystkim uczą nas one, że naród żydowski rozrósł się liczebnie z jakich 3 milionów na początku 19 stulecia do przeszło 16 milionów w r. 1935. Nie przeszkadza nam więc wyciągnięcie z tych liczb optymistycznych wniosków co do biologicznego rozwoju narodu żydowskiego, mimo, że nadwyżka ponad 16 milionów nie została stwierdzona ze stuprocentową ścisłością. Po drugie, możemy dojść do wniosku, że także w ostatnim dziesięcioleciu przyrost Żydów wynosi przeszło 1,250,000. Bardzo być może że przybyło tylko 1,200,000 Żydów albo zgoła 1,300,000 Żydów, ale nie zmienia to przecież wniosku o niewątpliwym znacznym przyroście naturalnym narodu żydowskiego w ostatnim dziesięcioleciu, a to właśnie jest rzeczą najważniejszą. To samo można też powiedzieć w odniesieniu do wielkiej liczby innych kwestii, oświetlonych przez nasze tabele: rozmieszczenie narodu żydowskiego w poszczególnych częściach świata, państwach, krajach i t. d.; wzrost liczebności Żydów w jednych krajach, a spadek w innych; przeniesienie punktu ciężkości narodu żydowskiego z jednego kontynentu na drugi, z jednej grupy państw do innej i t. d. i t. d. Wszystkie *relatywne* liczby, udzielające odpowiedzi na wyliczone pytania, nic na tym nie stracą, że absolutne liczby nie są w stu procentach ścisłe.

Rozumie się, że pewna nieścisłość w liczbach absolutnych nie przeszkadza w wyciąganiu ścisłych wniosków, a więc nie pozbawia znaczenia liczb relatywnych. Oczywiście, że ma to miejsce wtedy tylko, gdy nieścisłości nie przekraczają pewnego określonego stopnia i gdy mamy do czynienia z odpowiednio wielkimi liczbami.

Zdając sobie zatem w całej pełni sprawę z nieuniknionych braków statystyki żydowskiej, a jednocześnie przeświadczeni o doniosłości danych statystycznych, jako najlepszej ilustracji zjawisk współczesnego życia żydowskiego, oddajemy na użytek naszego społeczeństwa opracowane przez nas tabele statystyczne.

*

LICZBA I ROZMIESZCZENIE ŻYDÓW NA ŚWIECIE POD KONIEC R. 1935.

(Dane spisów ludności, uzupełnione metodą szacowania).

A. EUROPA.

Kraj.	Liczba absolutna	% ogółu ludn.
Polska	3,150,000	9,3
Rosja Sowiecka	2,950,000	1,8
Rumunia	1,000,000	5,5
Węgry	420,000	4,8
Niemcy	420,000	0,7
Czechosłowacja	360,000	2,4
W. Bryt. i Irlandia	250,000	0,6
Francja	250,000	0,6
Austria	188,000	2,7
Litwa	17,0,000	6,9
Holandia	115,000	1,3
Łotwa	93,000	4,7
Grecja	78,000	1,2
Jugosławia	75,000	0,5
Belgia	60,000	0,7
Bułgaria	50,000	0,8
Włochy	47,000	0,1
Turcja europejska	47,000	4,7
Szwajcaria	17,500	0,3
Gdańsk	12,000	2,6
Szwecja	7,000	0,1
Hiszpania	7,000	0,0
Dania	6,500	0,2
Estonia	4,400	0,4
Luksemburg	3,000	0,7
Portugalia	2,500	0,0
Finlandia	1,900	0,0
Norwegia	1,700	0,0
Gibraltar.	1,100	5,0
Lichtenstein	500	5,0
Albania	200	0,0
Inne	5,000	—
Europa ogółem	9,863,300	2,0

B. AZJA.

Palestyna	380,000	29,0
Rosja Sowiecka (część azjatycka)	130,000	0,8
Irak	73,000	0,2
Indie bryt.	50,000	0,0
Persja	40,000	0,4
Arabia	32,000	—
Jemen	30,000	3,0
Turcja azjatycka	27,000	0,2
Chiny, Mandżuko i Mong.	25,000	0,0
Syria i Libanon	17,000	0,6
Afganistan	7,000	0,1
Aden	4,000	—
Japonia	2,000	0,0
Rodos	2,000	—
Inne	5,000	—
Azja ogółem	824,000	0,1

C. AFRYKA.

Marokko franc.	120,000	2,7
Alger franc.	115,000	1,7
Afryka Płd. bryt.	85,000	4,3
Fgipt	70,000	0,4
Tunis	60,000	2,3
Abisynia	50,000	0,5
Tripolis włoski	23,000	3,1
Marokko hiszp.	14,000	1,8
Tanger	12,000	15,0
Cyrenaica i Egea włoskie	8,000	4,4
Rodezja Płd. bryt.	2,000	0,2
Inne	5,000	—
Afryka ogółem	564,000	0,4

D. AMERYKA.

Stany Zjednoczone	4,450,000	3,6
Argentyna	250,000	2,1
Kanada	165,000	1,5
Brazylia	45,000	0,1
Urugwaj	20,000	0,1
Meksyk	15,000	0,1
Chile	10,000	0,2
Kuba	9,500	0,2
Columbia	2,000	0,0
Jamaica	1,500	—
Wenezuela	1,500	—
Paragwaj	1,000	0,1
Panama	1,000	0,2
Peru	1,000	0,0
Guyana holend.	800	0,5
Costarica	400	0,1
Inne	5,000	—
Ameryka ogółem	4,978,700	2 1

E. AUSTRALIA I NOWA ZELANDIA

Australia	27,000	0,4
Nowa Zelandia	3,000	0,2
Australia ogółem	30.000	0,3
Na całym świecie:	**16,260,000**	

Apolinary Hartglas

Położenie inteligencji żydowskiej

Do faktycznego wyparcia inteligencji żydowskiej z terenu urzędniczego dołączyło się jeszcze inne zwężenie terenu jej działalności, bądź faktyczne, bądź ustawowe. Faktyczne — w związku ze zmianami granic państwowych po wojnie. Możność emigracji do krajów niemieckich Austrii czy do Rosji właściwej — odpadła. Jest to obecnie — zagranica, a za granicę emigrować ostatecznie można, ale zarobkować w niej — wara. Ochrona rynku pracy, teoria samowystarczalności państw, ustrój sowiecki — podcięły możliwości zarobkowe emigranta, zmuszają inteligenta żydowskiego do pozostawania w kraju, t. zn. na skurczonym terenie zarobkowym. Teren ten w stosunku do Żydów uległ dalszemu skurczeniu, już sztucznemu, ustawowemu — w związku z etatyzacją gospodarki społecznej. Monopol tutoniowy, monopol wódczany, etatyzacja rozmaitych przedsiębiorstw i gałęzi przemysłu — wyrwały cały szerek placówek zarobkowych z wolnego obrotu gospodarczego, uzależniły je od Rządu, uczyniły z pracowników w rzeczywistości urzędników. I Żyd tam już zajęcia nie znajdzie, — chyba wyjątkowo, za jakąś wielką protekcją. A szereg Żydów, którzy przed tym na tych placówkach pracowali, zostali zredukowani, usunięci. Jak wielką wyrwę to zrobiło w możliwościach zarobkowych inteligencji żydowskiej — łatwo sobie wyobrazić.

Na rok budżetowy 1936—1937 przewidywanych było w administracji państwowej i w wojsku — na stanowiska wyższych oficerskich, t. zn. inteligenckich — 155 000 stanowisk, w przedsiębiorstwach zaś państwowych, funduszach, zakładach, monopolach — 190,000 stanowisk (wraz z funkcjonarjuszami niższymi). W samorządach terytorjalnych pracowało w 1934—1935 roku pracowników umysłowych 40471. Można więc śmiało twierdzić, że w administracji państwowej, armii i w samorządzie jest nie mniej, niż 300,000 placówek pracy dla inteligencji. Żydom by się tedy należało około 30,000. A wiele oddano do ich dyspozycji? A wiele odebrano im przy etatyzacji?

Dla orientacji do poprzednich cyfr należy zaznaczyć, że w 1935 r. zaopatrzenie emerytalne ze Skarbu Państwa pobierało 192,530 osób, a z budżetów związku samorządu terytorialnego — 14255. W tym była znaczna ilość emerytur dla b. pracowników umysłowych i ich rodzin, t. zn. też fundusz, umożliwiający egzystencję inteligencji. Wiele w tym otrzymują Żydzi?

Zwężenie terenu działalności inteligencji żydowskiej i zmniejszenie ilości placówek zarobkowych spowodowało przeludnienie rynku zarobkowego inteligencji, nadprodukcję jej ze wszelkimi ujemnymi następstwami w postaci proletaryzacji, bezrobocia jawnego lub zamaskowanego, zaostrzonej konkurencji, a częstokroć i obniżenia poziomu zarówno fachowego, jak i etycznego. Tymczasem usunięcie ograniczeń ustawowych przy przyjmowaniu do szkół akademickich na terenie b. zaboru rosyjskiego i szerokie rozwarcie bram dla tworzenia prywatnego szkolnictwa średniego, usuwające stosowanie ograniczeń wyznaniowych — wszystko to w związku z pogarszającą się sytuacją gospodarczą spowodowało znaczny napływ młodzieży żydowskiej do zawodów wyzwolonych. Wypierany z handlu i średniego przemysłu Żyd myślał, że zapewni swoim dzieciom możność łatwiejszej walki o byt, jeżeli uzbroi je w dyplom uniwersytecki. Fala młodzieży żydowskiej zapełniła więc wyższe uczelnie. Dopiero ostatnio rozczarowanie życiowe, jakiego wszyscy są świadkami, i takie pogorszenie sytuacji gospodarczej żydów, że wielu ojców nie jest w stanie opłacić nauki swoich dzieci, — wpłynęły na pewien odpływ tej fali. Nie mniej jednak równocześnie z kurczeniem się możliwości zarobkowych inteligencji żydowskiej, wzrastał napływ do zawodów inteligenckich. Wzrastał — nie zważając na trudności, z jakimi młodzież akademicka musiiała walczyć wobec stosunków, panujących na wyższych uczelniach już od 8 lat. Ale o martyrologii akademika żydowskiego mówić tu nie będziemy. To jest odrębny i jakże bogaty temat. I jakże tragiczny!

Polityka kurczenia terenu działalności inteligencji żydowskiej prowadzona była planowo i systematycznie za pośrednictwem uczelni akademickich jeszcze na długo przed półoficjalnym rzuceniem hasła „samoobrony kulturalnej". Jeszcze przed przewrotem majowym i tak samo po maju napływ młodzieży akademickiej do uczelni wyższych był rozprowadzony sztucznie w ten sposób, ażeby wychodząca z dyplomami młodzież miała jak najmniej praktycznych korzyści z ukończenia uczelni. A więc na wydziały, dające możność po ukończeniu zarobkowania bezpośrednio, bez ingerencji władz państwowych, jak na medycynę, przyrodę, jak na politechniki, dopuszczano tylko nie wielki odsetek Żydów nie przekraczający 10%, a częstokroć nie osiągający nawet tej normy. Robiono to pod postacią ograniczenia ogólnej ilości przyjęć pod pretekstem ciasnoty w pracowniach i laboratoriach, przy czym o przyjęciu rozstrzygały rzekomo rozmaite egzaminy z pewnych przedmiotów i z inteligencji ogólnej, i tak jakoś się zwykle dziwnie składało, że nawet najzdolniejsi i najlepiej uczący się w szkołach średnich maturzyści — Żydzi nie mogli dotrzymać placu swoim najmniej zdolnym i z najgorszymi maturami kolegom — aryjczykom, gdy tylko tego wymagało utrzymanie nieoficjalnej normy procentowej. W ten sposób wprowadzono faktycznie — wbrew protestowi w swoim czasie prezydenta Poincaré — numerus clausus dla żydów na tych wydziałach, i to z normą procentową nawet niższą, niż była stosowana za czasów rosyjskich. A Rosja liczyła 4½% Żydów, Polska zaś— przeszło 10%.

Natomiast na wydziałach, które bez następnej aprobaty władz państwowych i możności zarobkowania przy tym pewnego sita — nic, oprócz papierka (no, i wiedzy), obywatelowi nie dają, nie czyniono młodzieży żydowskiej żadnych trudności, t. zn., na prawie, humanistyce, matematyce... Trudności w postaci żyletek, kastetów i kijów puszczono tu na nich już później... Ale po ukończeniu dyplomant musiał latami czekać na aplikację sądową, a o nominacji na stanowisko nauczyciela w szkolnictwie państwowym, czy na inne państwowe stanowisko, wymagające zastosowania nabytych przez niego wiadomości, nie mógł nawet marzyć.

Część młodzieży żydowskiej, pragnącej a nie mogącej dostać się na wydziały, dające możność bezpośredniego zarobkowania po ich ukończeniu, — wyjeżdżała za granicę. Wszakże dyplomy zagraniczne nie dawały możności zarobkowych w kraju bez nostryfikacji, a jakimi trudnościami najeżoną jest ciernista droga nostryfikanta żydowskiego, wiele lat trwa i od wielu najrozmaitszych okoliczności wynik nostryfikacji zależy — nie mam potrzeby tu się rozwodzić.

Liczyć tak, jak przed wojną, na znalezienie odpowiedniego zatrudnienia dla dyplomowanego inteligenta żydowskiego w handlu, czy bankowości, wobec coraz silniejszego wypierania z tej ostatniej Żydów i wobec kurczenia się i upadku handlu żydowskiego pod wpływem etatyzacji, bojkotu i kryzysu gospodarczego — obecnie już nie można. Co najwyżej drobne, licho płatne posadki dla początkujących bez widoków na awans, na wybicie się i osiągnięcie godnej sytuacji.

Inteligencja żydowska poszła więc nolens volens w trzech kierunkach: medycyna, adwokatura i technika. I cóż widzimy w każdym z tych trzech kierunków?

Medycyna żydowska ma się jeszcze jako tako. Lekarzy żydowskich uniwersytety wypuszczają niewiele, bo stosują — jak już zaznaczyliśmy — przy przyjmowaniu nieoficjalną normę procentową. Nostryfikacja na medycynie jest rzeczą bardzo trudną. Na prowincji, zwłaszcza tej głuchej jest jeszcze miejsce dla lekarza. Ale mimo to młody lekarz żydowski skazany jest przeważnie na nawpół głodową egzystencję. Powoduje to ogólne zubożenie ludności, nie pozwalające jej na luksus zwracania się do lekarza o pomoc, — ciemnota ludności wiejskiej w wielu miejscowościach kraju, no, i etatyzacja pomocy lekarskiej pod postacią szpitali i ubezpieczalni społecznych. Te ostatnie zaś coraz bardziej eliminują lekarza - Żyda, bądź wprost, bądź w związku z prądami eksterminacyjnymi i bojkotowymi w organizacjach lekarskich, które polecają kandydatów do ubezpieczalni. Jednocześnie przez nieprzyjmowanie lekarzy-Żydów do szpitali ogólnych a narzucanie zgóry lekarzy - chrześcijan szpitalom żydowskim utrudnia się młodym lekarzom żydowskim uzyskanie wymaganej od nich praktyki klinicznej, usuwa się ich od wydoskonalenia i zdobycia posad państwowych i samorządowych. Dzięki tym metodom stan lekarzy-Żydów jest o wiele gorszy, niż mógłby być nawet w warunkach obecnego ogólnego zubożenia i przejawy proletaryzacji oraz obniżenia norm etycznych w walce konkurencyjnej wśród nich stają się coraz częstsze.

W adwokaturze sytuacja przedstawia się o wiele gorzej. W Małopolsce przeludiienie w tym zawodzie istniało już przed wojną, i Żydzi stanowili znaczną absolutną większość wśród adwokatów. W b. zaborze rosyjskim stosunki początkowo były dobre, ale w ciągu ostatnich 15 lat ilość adwokatów w apelacii warszawskiej wzrosła przeszło *sześciokrotnie*. Nie w takim może stopniu, ale też kilkakrotnie wzrosła ilość adwokatów w pozostałych apelacjach b. zaboru rosyjskiego. I dzieje się to w okresie postępującego kryzysu gospodarczego i ogólnego zubożenia, a poniekąd nawet pod jego wpływem, bo ukończony prawnik nie może znaleźć zajęcia ani w handlu, ani w bankowości, przemyśle czy nawet asekuracji. Ostatecznie, ta ilość adwokatów — przeszło 7000 na 33,000,000 ludności — nie byłaby zbyt wielka, ale nędza powszechna i zastój gospodarczy czynią znaczną część ogółu adwokackiego zbyteczną. Obecnie, rzeczywiście, w adwokaturze żywioł żydowski przeważa. Wprawdzie w apelacji warszawskiej Żydzi-adwokaci stanowią tylko cokolwiek ponad 40%, w apelacji Poznańskiej jest ich bardzo mało, w Lubelskiej i Katowickiej też tylko nieznaczny odsetek, ale łącznie z izbami małopolskimi przeciętna cyfra przekracza 55%. W stosunku zaś do potrzeb samej ludności żydowskiej jest Żydów-adwokatów taki nadmiar, że najlepiej to charakteryzuje dowcip, w którym adwokat - Żyd tłumaczy brak praktyki tym, że Żydzi nie mają potrzeby zwracać się do adwokatów po płatną pomoc... każdy biedny Żyd ma obecnie syna adwokata, a każdy bogaty— zięcia adwokata.

Zupełnie odmienną jest sytuacja ogółu adwokackiego chrześcijańskiego, a żydowskiego. Adwokaci - chrześcijanie stanowią arystokrację stanu, jej sfery dobrze usytuowane. Oni są radcami w instytucjach państwowych i samorządowych, w państwowych przedsiębiorstwach, w wielkim przemyśle i bankowości, oni przeważnie otrzymują dobre upadłości, nadzory, sekwestry, kuratele i zarządy przymusowe. Naturalnie, i tu są wyjątki, klepiące biedę, ale ogólna fizjognomia tej części stanu adwokackiego, — to dobrze usytuowana i dzięki temu mogąca utrzymywać powagę stanu warstwa społeczna. Natomiast adwokatura żydowska, zwłaszcza ta młodsza — to, z nielicznymi wyjątkami, proletariat adwokacki: uganianie się w drobnych sprawach po sądach grodzkich. Winę ponosi tu w znacznym stopniu i sam żydowski klijent, który z większą sprawą woli pójść do adwokata nie-Żyda, w błędnym przeważnie mniemaniu, że Sąd czy władza będą się z nie-Żydem więcej liczyły. Natomiast, zdając sobie sprawę z nadprodukcji stanu adwokackiego wśród Żydów i z panującej wewnątrz niego konkurencji, klijent-Żyd wyzyskuje do ostateczności pracę adwokata-Żyda w drobniejszych sprawach.

Obustronna konkurencja wśród adwokackiego proletarjatu żydowskiego powoduje coraz częściej pewne odchylenia od norm etyki zawodowej w stosunkach pomiędzy kolegami, co bywa wyolbrzymiane przez antysemickie koła wewnatrz korporacji i wykorzystywane do walki z „zalewem" żydowskim. Należy jednak zaznaczyć, że w stosunku do klijentów etyka żydowskiego adwokata stoi wysoko. Próby wprowadzenia paragrafu aryjskiego do adwokatury, czynione w tym roku na zgromadzeniach izb akademickich, są każdemu znane. Chybiły one wprawdzie celu, ale nie mniej zwolennicy paragrafu zwyciężyli: projektowana nowelizacja ustawy o ustroju adwokatury, przewidująca przymusową aplikację sądową, uzależniona od dyskrecjonalnej nominacji przez władze państwowe, — oraz zamykanie list przy pozostawieniu ich otworem dla przechodzących z sądownictwa i prokuratury — napływu do adwokatury tak bar-

(Dokończenie na stronie 8-mej)

Roman Brandstaetter

Tobie, ziemio polska

Mija obecnie 700-letni jubileusz żydowskiej Gminy w Płocku, jednej z najstarszych gmin żydowskich w Polsce. Rocznica ta, będąca symbolem naszej odwiecznej tradycji kulturalnej i materialnej na ziemiach polskich, nabiera dziś — w obliczu szalejącego antysemityzmu — wartości historycznej manifestacji.

Żydostwo polskie, zawsze spełniające wobec Rzplitej szlachetny obowiązek, świadome było na całej przestrzeni historii Państwa Polskiego — idei wspólnej misji dziejowej, która w jeden organizm państwowy sprzęgła, tu nad Wisłą, naród polski z narodem żydowskim.

Wspólna ziemia, pełna niewysłowionego uroku i dostojeństwa zawsze łączyła nas organicznie, często wbrew naszej woli! — z swoim przeznaczeniem. Faktu tego, wypływającego z konieczności historycznej, nikt nigdy nie zdoła zaprzeczyć! Mówi o tym historia Żydów, którzy przed wiekami przybyli po to na ziemie polskie, abyśmy dziś — w ogniu naszej martyrologii — odnaleźli swą duszę dziejową.

Jutro wyjeżdżasz do Ziemi Izraela. Już jutro w jasno wygwieżdżony wieczór stać będziesz na pokładzie okrętu, zdążającego do twej ojczyzny, którąś opuścił przed dwoma tysiącami lat. W sinej mgle rozpłyną się bez śladu postrzępione od starości brzegi Europy, która zdawać ci się będzie stosem płonącym na rozstajach dróg. Fale cicho bić będą o burtę statku, a ty wpatrzony w znikający ląd, uświadomisz sobie świętość tej chwili, gdyś po raz ostatni dotknął twą stopą ziemi niewoli.

Więc dziś jeszcze przemierzasz uliczki ghetta i wstępujesz do domu twoich praojców do domu, któregoś od wielu lat nie widział, pogrążony w chaosie i trudzie codziennego dnia.

W ciepłe popołudnie idziesz ulicami gwarnego miasta, powoli mijasz bogate dzielnice, a potem wąskie uliczki, opadające swymi wylotami ku rzece. Wreszcie wchodzisz w chłodną sień domu.

Ogarnia cię zielony zapach starości. — Zdziwionym wzrokiem wodzisz dokoła, po starych odrapanych ścianach, wytartych stopniach schodów, po żelaznej lampie, zwisającej z gotyckiej powały, po zakratowanym okienku, przez które prześwieca błękit jasnego nieba. Nie wierzysz jeszcze, że jest to dom twoich praojców. Jest obcy i owiany smutkiem dalekich stuleci. Czujesz się w nim gościem. Lecz nagle, gdy tak stoisz w szarym półmroku, w wąskim trójkącie światła i cienia, w sercu zamierającego ghetta, uświadamiasz sobie boleśnie, że oto tu — po tej kamiennej, popękanej posadzce kroczyli przed wiekami twoi praojcowie, że wśród tych ścian rodzili się oni i umierali. I wiesz już, że w czasie krwawych tumultów próg ten przekraczali oni z trwogą, wyzierali na opustoszałą ulicę i nagle — z przeraźliwym krzykiem na bladych wargach uciekali do sieni, z trzaskiem zamykając za sobą okutą bramę, na którą ty w tej chwil patrzysz, szlachetny potomku kupców, jutro powracający do ojczyzny.

Czujesz w sobie ciszę tego domu; ogarnia cię ona coraz silniej i całkowiciej; zwolna odmyka się ona przed tobą i pozwala ci spojrzeć w swą głąb.

Spoglądasz ponad dachami niskich domów ku krańcowi widnokręgu, zamkniętego od północy szarą bryłą gór, a od południa — przylegającego do dalekich ogrodów i sadów, do rozoranych skib, do szerokich pól parujących ostrym, wiosennym zapachem. A tu — amfiteatr domów podgórskiego miasta, wspartego silnie jednym bokiem w lekko nachylony stok brązowych gór, drugim — w nizinną dolinę, usrebrzoną na granitowym dnie szeroką rzeką. Rzeka wypływa z gęsto zalesionej Orlicy, wąskimi przesmykami mknie po głazach, wymija nagłymi skrętami hucząc gniewcie jakby znużona tym ciągłym balansowaniem, rzuca się naoślep w otchłań i po przez skalne, prostopadłe ściany ścieka grzmotem wodospadów. Wypieniwszy i wyszumiwszy się do syta, wycieńczona bystrym biegiem, rozlewa się szerzej i spokojniej. Znudzona górską, dziką samotnością lgnie chciwie do roześmianych pól, rozkołysanych chudym owsem i jęczmieniem. Mija powoli ogródki zaróżowione malwami i wyzłocone słonecznikami, chaty oblane zielonym strumieniem gęstego powoju, dziedzińce bogatych dworów, rozbrzmiewające suchym zgrzytem studziennych żórawi, rozkołysane gąszcze i lasy, rojne osady i ciche wioski, nad którymi płynie ku niebu, jak niewysłuchana modlitwa, wąskie pasmo szarych dymów. Wreszcie biegnie ku nizinom dobra rzeka, opływająca kraj twoich lat dziecinnych, pierwszych twych wrażeń ciche ziemie, pierwszych twych niepokojących odkryć wielkie kontynenty, po których dzieckiem jeszcze będąc kroczyłeś z uczuciem szczęścia i niczym niezamąconej ciszy.

Kraj lat dziecinnych! Nie znaczony smugą cienia, ani bolesną wiedzą o tamtych, dawnych czasach, gdy stopy twoich braci powędrowały pod stoki górskie, do tej połaci ziemi wciśniętej klinem pomiędzy bieg bystrej rzeki, a łańcuch granatowych szczytów.

Kraj lat młodzieczych! Kraj najpiękniejszego zmierzchu twojej młodości, ziemia czerwonego zachodu gorejącego w ten wieczór na krańcach skalistego widnokręgu, obrośniętego suto szmaragdem parujących borów, ostrymi czubami iglastych chojarów. Ziemia — błękitnych sosen i gęstych skupień świerkowych, czepiających się niskiej uboczy, ziemia — lekkich mgieł, otulających kępy przedborza, ziemia — czerwieni gęstniejącej na widnokręgu i odbijającej się przeraźliwie na falach pod zachód płynącej rzeki. Pamiętasz ten płomień zwolna opadający ku ziemi? ! ten przez pnie drzew przezierający żar, który dno lasu przetapiał w błyszczącą miedź? I to ogromne, ciemniejące niebo, wysoko stojące nad górami, od których ku dolinie nadciągał powiew przepojony zapachem mokrego igliwa?

Ziemia twej żydowskiej męki.

Któż wie, jaki Żyd drogą daleką umęczony, na granicy polskich ziem stanąwszy po raz pierwszy oczyma pełnymi łez witał te rozległe zboża i gęste puszcze i szare góry, wikliny i zagajniki, sitowia — pod naporem wody, a przydrożne topole — pod wiatru uderzeniem sennie szumiące. Któż wie, jaki Żyd stanąwszy po raz pierwszy tu pod północnym niebem i wciągnąwszy w zadyszane piersi wilgotną woń wieczoru wiejącą od lasu, — począł z trwogą spozierać po nieznanych skibach, po zaroślach i gąszczach po polach i łąkach i rzekach i drogach krętych i grudziastych, po srebrnych wierzbach, spróchniałych i garbatych. Któż wie o jakiej porze dnia lub nocy zjawił się ów pierwszy Żyd na tych polskich ziemiach. O poranku mgłami zasnutym? O zmierzchu dymiącym żarem zachodzącej, spopielałej zorzy? O południu upalnym, rozbrzmiewającym śpiewem świerszczów? Któż wie? Nawiedza cię, miły przyjacielu, przypomnienie zamierzchłej gadki o Żydzie Prochowniku, oprawnej w legendę jak brylant w złoto kosztowne, — przypominasz sobie dzieje deputacji żydowskiej u Leszka, która książęciu polskiemu wiary żydowskiej zasady wyłożywszy, znalazła łaskę w oczach jego, — rozmyślasz o brakteantach polskich hebrajskimi napisami zaopatrzonych, wygrzebanych z zimnych popiołów wraz z niegdysiejszych ludzi białymi szkieletami, spoczywającymi w urnach glinianych. — o podróżach Petachii z Ratyzbony, co tędy szlakiem odwiecznym handlowym, z Pragi do Kijowa wędrował, wreszcie — o zacności Kaliskiego Bolesława, co przywilejem miłosiernym życie braciom twoim na tych niżach umożliwił. Bo bracia twoi, nienawiścią niesławną ścigani, do polskich ziem gromadą poczęli przybywać, by i tu znowu pod nienawiści obuchem pospolitego gminu — żyć i konać; szli ze stepów zielonych burzanami rozkołysanych, z nizin naddońskich i nadwołżańskich, z dalekiej Azji przez Narodów Bramę, z nad fal błękitnych Rogu Złotego, z chazarskich pól plemię rolnicze; to znów uciekali z warownych miast Francji, Niemiec i Czech — przed Krzyżowców pochodem lub mieszczaństwa nienawistnego naporem, które wzbogaciwszy się i handel cały w ręce chciwe i drapieżne przejąwszy, tumultem i rzezią krwawą praojców twoich wypierało. Przybyli tu, aby dalej cierpieć i łzy gorzkie wylewać i z pierwszym dniem swych narodzin wstępować w noc wygnania, w tłum bity i katowany, w ogień i popioły żydowskich dzielnic. A choć tutaj wielkie majątki w pocie uczciwej pracy zdobywali, stawiali domy murowane, w sapetach gromadzili złoto, srebro, ciężkie dukaty, kamienie kosztowne i szaty conajprzedniejszej roboty, — to jednak rychło wśród krwawych tumultów i niespodziewanych niebezpieczeństw pod toporem oskarżeń o mordy rytualne, kłucie Hostii, studzien zatruwanie i śmierci morowej szerzenie, — bogactwa tracili, często szczęśliwi, gdy w rękach siepaczy mienie pozostawiwszy, mogli żywot tułaczy ratować i z rodziną w bezpieczniejsze miejsca uchodzić.

Lecz w przodkach twoich do nikogo nienawiści nie było; bo nienawidzieć oni nie umieli, ani nie pożądali dóbr cudzych, a pragnęli tylko pracy spokojnej i równouprawnienia, którego nigdy nie otrzymali.

Nikt też do nich nigdy wówczas, ani nigdy potem — dobrym słowem nie przemówił.

Więc samotni i cierpiący żyli na tym wielkim niżu nadwiślańskim, w tym domu niewoli, po którego kamiennych płytach powoli i ostrożnie stąpasz teraz, aby ciszy nie zmącić. Cisza legła na chłodnym grobie tego domu, jak otwarta gemara na śmiertelnym całunie zwłoki mędrca otulającym. Umarł dom, umarły ściany, krwią zakrzepłą znaczone, szary tynk w pył rozsypał się, oślepły okna, pustym mrokiem spozierające w szeroki bezmiar nieba. Lecz żywym ogniem płoną tu jeszcze stulecia dziejów żydowskich, — w domu samotnym i w tobie, w tych izbach pustych i w twym sercu.

I wtedy poczynasz przypominać sobie dawne dzieje. Dawne dzieje, gdy to w Frankfurcie nad szumiącym Menem, pradziad twój, faktor J. W. Xięcia Elektora, męczeńską śmiercią na stosie zginął, niesprawiedliwie oskarżony o miejskiej studni zatrucie. W ciemnym lochu męczono go, członki wykręcono, ogniem żywym przypiekano, chcąc zeń przemocą lub podstępem zeznania wydobyć. Żyd uparcie milczał, a po przez kurczowo zaciśnięte wargi jego nie wyciekło ani jedno wiarołomne słowo; Bogu ducha czystego powierzywszy, w milczeniu, na stosie, ustawionym na rynku frankfurckim, skonał.

Była wtedy wiosna, a w dolinie Menu zakwitły pierwsze winne szczepy.

W ogrodach Xięcia - Elektora pękały pierwsze pączki róż.

Wówczas syn jedyny zamęczonego Żyda — Icchok, karnych sankcji inkwizytorów przeraziwszy się, tajemnie z Niemiec do Polski uciekł. A gdy w Rzeczypospolitej granice wjeżdżał, burza wielka wrzała dokoła. Suchy wiatr, przepojony mocnym zapachem świeżo skoszonego siana szeleścił w koronach wysokich topól, drżał w sitowiu, gęsto obrastającym przydrożny moczar i muskał rozwiane grzywy koni, pochylających raz po raz ku ziemi niespokojne łby. Miarowy, ciężki łoskot kopyt grzmiał głośno po kamienistej drodze, w ciemny mrok płynąc, rozświetlany co chwila błękitnymi zygzakami błyskawic, zapalającymi się nad brzegami widnokręgu, wypełnionego gęstą, upalną nocą. Począł padać deszcz. Gorące, ciężkie krople uderzały o ziemię. W łunie nagłych błyskawic padających na okolicę szerokimi wachlarzami świateł, odcinały się od czarnego nieba zjeżone, czarne czupryny chłopskich strzech i kanciasty masyw miasta, nakłutego ostrymi szpilkami kościelnych wież. Deszcz bił w zeschnięte grudy kolein co raz obfitszy i gęstszy, aż wreszcie zamienił się w rzęsistą ulewę. Z mroku po przez smugę gęstej zawieruchy wyłoniło się miasto.

W upalną, lipcową noc, poprzecinaną grzmotami, pod skórzaną budą ekstrapoczty, ociekającą strumieniami wody — w porę wielkiej burzy, przybył do Polski twój pradziad, samotny pielgrzym.

Do Gzowa przybył.

—

Rychło na dzierżawach ceł i myt znacznego majątku dorobił się. Z czasem począł towary z zagranicy sprowadzać: z Turcji i Niemiec — mknęły do Gzowa ciężkie wozy, naładowane drogocennym adamaszkiem, jedwabiem i atłasem, z Lizbony — pachnącymi korzeniami, papryką pieprzem, bukszpanem, z Francji — perfumami, brabanckimi koronkami, różem i pudrem.

Więc w okutych skrzyniach reb Icchaka rosły stosy ciężkich talarów. Wiedział bowiem reb Icchak, że jedynie strumień złota może go utrzymać na powierzchni życia, zaszczytem i splendorem obdarzyć. Czym był nędzarz żydowski, zdychający w ciemnych zaułkach ciasnego ghetta? Czym był Żyd, nie mogący wygodnie rozsiąść się w sześciokonnej karecie, juchtem obitej i wyścielonej melibraskimi kobiercami?

Dobrze o tym wiedział reb Icchak.

Więc na ulicy Blacharskiej, opadającej ku rzece, dom sobie okazały postawił. Wybudował żydowski dom, święty dom rodzinny wśród łez i skarg, znaczony potem i ciepłą strugą krwi. Tu oto na tej piędzi polskiej ziemi, w cieniu błękitnego nieba stanął ów dom, a fundamentem jego były kości męczenników, murami strzeliste skargi twoich praojców, a dachem — cień ich wyciągniętych dłoni. Każdy kamień był tu dziedzicem klęski, każda cegła wypalała się w ogniu tajemnych cierpień.

Więc patrz:

Oto twój dom.

Trzypiętrowa, okazała kamienica, o dziesięciu frontowych oknach, zielonej fasadzie, ozdobionej rzeźbami i polichromią.

Do domu wchodziło się przez ciemną sień; tylko wąska smuga światła, wpadającego przez zakratowane okienko, przecinała puszysty mrok.

Reb Icchak z żoną Chaną i dwojgiem dorosłych dzieci mieszkał na drugim piętrze w trzech przestrzennych komnatach, których okna zaopatrzone białym weneckim szkłem, wychodziły na gwarną ulicę Rymarską. Z jasnej sieni prowadziły drzwi do trzech komnat: do stołowej, gościnnej i świetlicy. W stołowej stała ogromna rozmiarami szafa, zamczysta, sztukwarkowa, malowaną ornamentyką pokryta, pełna norymberskich sreber, mis, świeczników, menor, nalewek i pucharów. Podłoga była wysadzana sosnowymi, misternie wiązanymi tarcicami, stał tam stół, a dokoła niskich ścian ciągnęły się lipowe ławy, przykryte wschodnimi kobiercami; z sufitu, o siedmiu belkach, ozdobionych rzeźbionymi bukietami kwiatów, owoców i liści, zwisał ciężki świecznik wrocławskiej roboty; dwa mosiężne ptaki podtrzymywały w dziobach jego szerokie ramiona. Ach, cóż to był za sufit! Nie znalazłbyś może równego w samym Ossolinie lub innym magnackim dworze!

W niemieckim sapecie pokrytym rzeźbami i roślinną ornamentyką, sznycerskiej, conajprzedniejszej roboty, może wykonanej przez samego Friedlaendera w Gdańsku, leżały kosztowne szaty i bielizna. Tutaj znalazłbyś zbytkowne muchajery i falendysze, ciężkie brabanckie koronki na wagę czystego złota we Francji kupowane, powłóczyste, atłasowe, szychem okładane suknie, rantuchy i armbindy obszyte srebrnymi nićmi, jedwabne napierśniki, sztyrnbindy haftowane a wyzłacane perłową macicą i matowymi perłami, łowionymi w dalekich morzach; tutaj znalazłbyś koszule obramione cennymi koronkami, krysy tkane, gorsety z forbotami i fartuchy z brokatu.

A w ciężkiej szkatule zakupionej w lwowskim handlu szlachetnych kamieni Mikołaja Siedmiradzkiego, lśniły brylanto we branzolety, łańcuszki, portugały i pamiątkowy medalion z wyrytym na nim pięcioramiennym świecznikiem; tutaj też znalazłbyś pierścień zaręczynowy z wyrzezanym na nim napisem MAZELTOW, i sygnet złoty z pieczątką w krwawniku, wyobrażającą lwa z rosochatymi rogami jelenia.

A obok stała druga pojemna skrzynia wypełniona po brzegi bekieszami i jedwabnymi kapotami, radziwiłkami, atłasowymi kożuchami o szerokich, lisich kołnierzach, leżały tu też bielutkie kitle lamowane złotym szychem, tałesy drogocenne i jarmułki haftowane.

Z dalekich podróży przywoził twój pradziad cenne wyroby z różanego drzewa, hebanu, mahoniu i złotogłowia. Z Włoch, dokąd wojażował z Zielińskim, przywiózł czerwone i niebieskie szpalery tkanin flamandzkich, którymi kazał obić ściany swych komnat; w Stambule zakupił złotolite kobierce, turkmańskie kilimy i makaty. Świetlicę nimi przyozdobił. W kącie ustawił kominek z alabastru, rzeźbiony na wzór kominków brzeżańskiego zamku Sieniawskich. Zaś pod ścianami piętrzyły się półki pełne świętych ksiąg, Biblii, Talmudów, Zoharów, spiętych paznokciami z kości słoniowej; na skrzanych oprawach sprawny rylec żydowskiego introligatora zawiłe ornamentacje wycisnął; to znów brzegiem oprawy wiły się wianki plecione z tajemnych kwiatów, nigdzie nie rosnących, a wyimaginowanych fantazją pomysłowego sztukmistrza.

A gdy spływał na ziemię zmierzch piątkowy pradziad twój odziewał się w uroczystą szatę i pochylał się nad owymi świętymi księgami. Prababka twoja nakrywała stół białym obrusem, stawiała na nim ostrożnie sobotni puchar na kidusz; chustą wzorzystą, wyszywaną różnokolorowymi nićmi przykrywała bielutkie bułki, obok stawiała talerz, na którym wyryta była modlitwa sobotnia.

Stara służąca Anna, obładowana garnkami, biegła na parter, do piekarza, i nazwiskiem twego pradziada opatrzone gliniane naczynia, wstawiała do piekarskiego pieca, aby jadło ciepło do soboty zachowało.

(Dokończenie w następnym numerze)

Dr. I. Schiper

I. L. Perec

(W 22-gą rocznicę zgonu)

Stiller, stiller,
Danken will er...

Były to ostatnie słowa, które napisała ręka Pereca. Ledwo zaczęta piosenka, zdaje się dla dzieci. Znaleziono kartkę, zapisaną cytowanymi słowami, na stoliczku nocnym obok łóżka, w którym poeta nagle zgasł nad ranem dnia 3. kwietnia 1915 roku.

Ciszej, ciszej....

Gdy dziś z perspektywy 20-letniej patrzymy na twórczość Pereca, nabierają jego ostatnie słowa, które wyrwały się z jego duszy, symbolicznego nieomal znaczenia.

Ciszej, ciszej...

Przypomnijmy sobie: słowa te padły w drugim roku wojny światowej, gdy w Warszawie roiło się od uchodźców z okolic przyfrontowych, a serce poety krwawiło wobec bezmiaru nędzy i opuszczenia bezdomnych dzieci żydowskich.

Ciszej, ciszej... Czyżby tylko oskarżenie, rzucone światu w imię humanitaryzmu? Oskarżenie poety, który zidentyfikował się z wiecznym tułaczem Ahaswerem, z błądzącymi i opuszczonymi dziećmi narodu-tułacza?

Ciszej, ciszej...

Nie tylko oskarżenie! Druga jeszcze dźwięczy z tych słów nuta. Najosobistsza, najintymniejsza! Wydaje się nam, jakby Perec w obliczu bliskiej śmierci zobaczył naraz siebie samego, całe swe życie, całą swą twórczość i jakby ostatnim wysiłkiem chciał zdobyć to, do czego dążył, a nie osiągnął.

Ciszej, ciszej...

Czyż nie brzmi to, jak łaknienie harmonii, jak tęsknota za spokojem po burzach życiowych?!

Życie bowiem i twórczość Pereca to ciągłe borykanie się ze sobą i otoczeniem, ustawiczna burza, nieustanne falowanie.

Był synem *epoki przejściowej*, w której starły się idee z niezwykłą gwałtownością, idee Zachodu z tradycjami getta, życie gromady z życiem wykluwającej się indywidualności.

Dłużyły się jeszcze cienie życia gromadnego, spowitego w tradycje średniowiecza, w wierzenia mistyczne. Lecz w getto wnikały już głosy „luzem chodzących"które wzywały do ocknięcia się z „wiekowego snu". Tylko nieznacznie były uchylone bramy gettowe, a już rozbrzmiewało od skłóconych haseł. Powstawały partie i frakcje. Haskala uderzała w życie tradycyjne, niebawem jęły syjonizm i folkizm walić w fortece asymilacji, narastał wreszcie żydowski socjalizm a wraz z nim pogłębiał się Kulturkampf w „ulicy żydowskiej". Prawdziwy zmierzch starych i narodziny nowych bogów i bożyszcz!

Na taki to czas przypada twórczość Pereca. Dodajmy jeszcze i podkreślmy, że był to okres, w którym poza niewygasłym jeszcze życiem tradycyjnym *żadne z nowych haseł — idei nie mogło się wykazać sprawdzianami życiowymi, żadne z nich nie ukształtowało jeszcze przekonywającej i rozstrzygającej rzeczywistości,* a każde z nich brzmiało jak program na przyszłość, jak teoria.... Masa nie zabrała jeszcze wtedy głosu, słuchała i milczała, była jeszcze gładką taflą, po której nowe hasła jeno się ślizgały. Tylko garstki intelektualistów prowadziły boje, więcej ze sobą, niż z owym anonimem — masą, o którego sprawę chodziło. Od mnogości orientacji brakło orientacji, tej właściwej, której sprawdzianem jest wysiłek zbiorowy.

W którym kierunku pójdzie ów zbiorowy wysiłek? Takie było dziejowe pytanie okresu przejściowego i przełomowego zarazem, w którym Perecowi wypadło żyć i tworzyć. Pytanie to przytłaczało Pereca i wycisnęło piętno na całej jego twórczości. Dzisiaj, gdy już minął okres „burzy", łatwiej zrozumieć te różnorodne oblicza, jakie cechują utwory Pereca. W ciągu wielu, wielu lat trudno było dojść do ładu z pytaniem: jakie było ideowe podłoże twórczości Pereca? Niektórzy krytycy radzili sobie przez rozbijanie twórczości tej na okresy i podokresy: a więc początkowo był maskilem i hebraistą, później nie przestając być maskilem skłaniał się ku asymilacji (nawet pod względem językowym), jeszcze później wahał się między syjonizmem a folkizmem, jakiś czas kokietował socjalizm, by potem „nawrócić się" na tradycyjne żydostwo i z rezygnacją rozczarowanego nowymi hasłami „wrócić do bóżnicy" i t. d.

Dzisiaj niepotrzebne nam to „rozproszkowanie" Pereca. Dzisiaj spoglądamy nań jak na znanego nieustającymi wątpliwościami intelektualistę, który pragnie wierzyć, chce się zazębić ideę, lecz — nie mając sprawdzianów życiowych — zawisł w powietrzu, między ziemią i niebem. Wieczny konflikt między sercem a intelektem — oto co z Pereca uczyniło naturę stale podnieconą, niespokojną, chwiejną, pełną sprzeczności.

Zdawało się przez jakiś czas, że ten niespokojny duch znalazł nareszcie jakąś przystań. Wydawać się mogło, że jego „Opowieści ludowe" i „Opowieści chasydzkie" były dlań taką przystanią, że dotarł nareszcie do lądu, na którym żyją ludzie pełni harmonii, o wzniosłej etyce i patosie bohaterów. Lecz to tylko złudzenie (przed laty również piszący te słowa uległ temu złudzeniu przy ocenie twórczości Pereca)! Złudzenie, wywołane sugestywną automistyfikacją Pereca. Pomimo całego piękna, które Perec zamknął w swych „opowieściach" nie odczuwa się w nich żaru serca, żaru religii. To piękno jest zimne, jak „amor intellectualis".... W tym stylizowanym świecie brak żywiołu, bo i skąd się miał wziąć, skoro autor mocno tkwił w sidłach swego intelektu, który jak chochlik szeptał mu w ucho: epos układasz ze snów, które jakże dalekie są od rzeczywistości!

Zdawało się Perecowi, stale uciekającemu i przeskakującemu z obozu do obozu, z idei do idei, zdawało mu się, że w „urojonych rzeczywistościach", jakimi jest świat jego „opowieści ludowych" i „opowieści chasydzkich", znajdziesz nareszcie punkt zaczepienia i spokój intelektualny.

Lecz i ta nadzieja prysłać Pod koniec życia sięgnął do Biblii, i... silniej zaczęło bić jego serce, zagłuszając niespokojny rytm jego intelektu. Z pod pióra Pereca wypłynęły wtedy przepiękne tłumaczenia „Pieśni nad pieśniami" „Księgi Rut" i „Kaznodzieji", które wraz z piosenkami dziecięcymi, pisanymi dla sierot wojennych w sierocińcach warszawskich, zamknęły jego twórczość.

Czyżby i ta świadomość, że nawiązuje do „Księgi Ksiąg" i że z piosenką pocieszenia biegnie do skołatanych dzieci żydowskich, nie przyniosła mu spokoju — oparcia?

Stiller, stiller.
Danken will er...
Komu to pragnął podziękować i za co?

Teodor Lessing

Dźwigajcie kamienie do Jeruszalajim...

Mojżesz Mendelssohn, niepokaźny syn pisarza Tory z Dessau, był owym czarodziejem, który z rozproszonych grup „marzycieli getta" uczynił wielce poważne gminy „obywateli niemieckich wyznania mojżeszowego". Ale dziś nie patrzymy już na czyn — poprzez epokę oświecenia (haskuli).

Około r. 1880 stanowili Żydzi i Persowie, —ostatnie resztki dwóch prastarych, na całej kuli ziemskiej rozsianych narodów — rodzaj łącznika między wszechwładną potęgą Europy — Ameryki i zwolna zamierającego świata dawnej Afryki i Azji.

Getto stanowiło wówczas w łonie jednolitej cywilizacji państw chrześcijańskich — fragment romantyki i starożytności. Nasz negatywny stosunek do świata chrześcijańskiej cywilizacji nie mógł się dłużej utrzymać. Nasz protest był tak samo daremny, jak protest Indian, Murzynów, Arabów, Beduinów, Chińczyków albo Hindusów przeciw „k u l t u r z e". W słońcu „kultury" roztapiały się te starodawne narody świata... Mojżesz Mendelssohn przekreślił przeszłość żydowską, gdyż chciał (jak to później wyraził Heine) dla swego narodu uzyskać „bilet wstępu do kultury europejskiej". Ani Mojżeszowi Mendelssohnowi ani jego wielkiemu przyjacielowi, Gottholdowi Efraimowi Lessingowi, nie można uczynić zarzutu z powodu ich naiwnej nadziei, że niebawem wszystkie religie i obyczaje będą li tylko odmianami jednej jedynej, wspólnej dla całej ludzkości, „boskiej religii rozumu". W tym duchu na Zachodzie komentowali i rozwijali żydostwo od owego czasu rabini w swych uczelniach i seminariach. Nie pragnęli oni więcej narodowej, żydowskiej religii. Pragnęli, aby żydostwo reprezentowało naukę u n i w e r s a l n ą.

Około r. 1800 znano wprawdzie dobrze nienawiść r e l i g i j n ą, ale nie znano jeszcze „antysemityzmu rasowego", który powstał dopiero później. Przechrztów żydowskich przyjmowano często do szlachty europejskiej i niewiele jest dziś rodów szlacheckich, któreby — o czym same często nie wiedzą — nie zawierały przymieszki krwi żydowskiej. Często „wychrzcić się" oznaczało zarazem zapewnić sobie utrzymanie przez państwo, gminę lub księcia. Trzebaby chyba ludzi uważać za istoty doskonałe, ażeby Żydom w epoce oświecenia uczynić zarzut z powodu ich masowego przejścia na łono kościoła katolickiego lub ewangielickiego. Wierzyli oni uczciwie w miłość powszechną, przynajmniej w „tolerancję". Z radością przyjęli zapowiedź „wolności — równości — braterstwa". Zdawało się, że uczciwie rozumiano te hasła Rewolucji. Getta zostały rozwiązane, ustawy ograniczające Żydów zniesione... Prawo talmudyczne było odtąd tylko przedmiotem zainteresowania uczonych. Żydzi podlegali jako równouprawnieni obywatele prawu cywilnemu. Religia ich stała się „wyznaniem" obok innych wyznań.

Już wnuk Mendelssohna nie był więcej żydem. Postąpił „zupełnie" konsekwentnie, gdyż wszyscy Żydzi zachodni uczyniliby to samo, gdyby temu procesowi *rozkładu i asymilacji* nie przeciwstawiłaby się nowa potęga, a mianowicie w a l k a k l a s.

Walka klas rozpoczęła się z nastaniem ery industrializacji. W epoce, gdy maszyna, technika, pieniądz i przemysł ujarzmiły cały świat, była to najpoważniejsza z wszystkich walk. Czymże były teraz dawne spory religijne? Także różnice narodowościowe między ludźmi nie były już tak decydujące, jak różnice i troski klas społecznych.

Karol Marks, teoretyk walki klas, widział w swoich współwyznawcach tylko „wykorzeniony doczepek klasy kapitalistów i ich gospodarki pieniężnej". Tak zwana emancypacja Żydów oznaczała dla Marksa tylko ich uobywatelnienie a uobywatelnienie było dla niego jednoznaczne z „wydaniem na łup ustroju kapitalistycznego". Marks nie znał walk narodu żydowskiego. Toczyły się one wszak tylko na Wschodzie, gdzie Żydzi byli właśnie przeważnie rzemieślnikami i robotnikami. Historycy, którzy przedstawiają Żydów jako naród l i c h w i a r z y, nie wiedzą nawet, że pobieranie procentów i lichwa są zabronione przez ustawodastwo Mojżesza i że dopiero od XIII wieku feudalizm narzucił Żydom zajęcia związane z gospodarką pieniężną. Na Zachodzie więc oko Karola Marksa nie spostrzegło nic poza walką partii i interesów. Komunista w rodzaju Mojżesza Hessa, który był równocześnie narodowym Żydem i syjonistą, stał zupełnie osamotniony w partii proletariatu i w walce ze światem burżuazyjnym.

Ale świat, w którym burżuazji się doskonale p o w o d z i ł o, z wielką radością wyzyskał dla swoich celów położenie Żydów i sprawę żydowską. Temu światu było wygodnie, że przeciwnicy społeczeństwa b u r ż u a z y j n e g o zaliczali Żydów do grzechów kapitału, gdyż grzeszny świat potrzebuje kozła ofiarnego. Wszystkie ułomności burżuazyjnej i kolonizacyjnej gospodarki, ujarzmiającej cały świat, nawet te ułomności, które sami Żydzi odczuwali, starano się „wytłumaczyć" historią i istotą żydostwa. Powstała nowa teologia, według której (w sprzeczności z teologią średniowieczną) chrześcijaństwo i grzechy chrześcijaństwa są — dziełem Żydów. Paulus ponosi winę! „Chrześcijaństwo Chrystusa" tzw. prachrześcijaństwo nie było tworem żydowskim! Zrodziło się ono (w jakiś mistyczny sposób) z duszy ludów aryjskich. Lecz później zjawił się Hebrajczyk Paulus. I oto trzeźwość i bezduszność, które zapanowały na ziemi z powodu rozszerzenia się „kultury" chrześcijańskiej, nie są wynikiem p r a w d z i w e g o chrześcijaństwa, lecz — *„zażydzonego"*.

Należy stwierdzić — jak przykrym by to nie było — że właśnie antysemityzm uratował naród żydowski. Asymilacja czyniłaby w Europie zachodniej bez przeszkód raźne postępy. Po kilku pokoleniach zakończyłby się prawdopodobnie proces asymilacji, gdyby nie napłynęła nowa fala n i e n a w i ś c i. „Żyd postępowy", zgarniający potrawy z wszystkich stołów Europy, stanął nagle przed murem nienawiści. Nienawiść ta przywiodła go jednak do opamiętania. Powstał syjonizm: zalążek odrodzenia narodu. U dawniejszych przywódców, u Pinskiera i Nordaua, nawet u wspaniałego Teodora Herzla, syjonizm był przede wszystkim aktem trzeźwej samoobrony — wyrósł u nich z przekory, z dumy, z chęci niesienia pomocy, z litości, czy, obojętnie z jakich odruchów uczuciowych — jednak dłużej nie mógł on poprzestać na czystej negacji. Już ludzie następnej generacji byli syjonistami, ponieważ czuli po żydowsku, a nie dlatego, że jako Żydzi czuli się obrażeni.

Potęga jest bezwładna, kapitał jest tchórzliwy, ci, którzy się nasycili, stają się obojętni.

Tam, gdzie związki europejskich obywateli wyznania mojżeszowego utkwiły na wygodnej mieliznie kompromisu, gdzie liberalizm, demokracja, postęp i wolnomyślność prowadziły swe gry niegrożące niebezpieczeństwem, — tam gromadziło się całe przewielebne towarzystwo burżuazji żydowskiej, cały „kowed". Tu można było spotkać słynne nazwiska i wysokie tytuły, kierownicze osobistości na polu sztuki, nauki i gospodarki.

Niech nam jednak wolno będzie obecnie nakrótko puścić cugle f a n t a z j i, mającej jednakowoż pewne cechy prawdopodobieństwa. Spójrzmy na losy innego narodu, niemniej zagrożonego przez „chrześcijańską kulturę", na naród hinduski, który od roku 1900 rozwinął w Indiach, ujarzmionych przez Anglię, znany ruch „non cooperation". Przyjmijmy na chwilę- że także Żydzi wszczęli akcję „non cooperation". Przyjmijmy, że około roku 1750, gdy miano znieść żółtą łatę na ubiorach oraz ustawy ograniczające Żydów, gdy miano proklamować emancypację Żydów, Żydzi odpowiedzieli następująco: „Przez 2000 lat żyliśmy z wiarą w przyjście Mesjasza, który ma nas spowrotem zaprowadzić do ojczyzny. A oto wspaniałomyślnie i po przyjacielsku ofiarujecie nam jako ojczyznę piękną Europę i wielką Amerykę. Żądacie jednakowoż, abyśmy zerwali z naszą historyczną tradycją, abyśmy wrośli w tradycję i w dzieje wielkich narodów zachodnich. Tego jednak żadną miarą nie możemy uczynić! Nigdyśmy od was nie żądali, obyście do nas przeszli. Nigdyśmy nie wysyłali misjonarzy do narodów, nigdyśmy nie byli żądni zdobyczy. Chcemy spokojnie nadal nosić nasze pejsy i żółtą łatę. Chcemy także zachować nasz język hebrajski i imiona hebrajskie. Nie chcemy brać udziału w waszych świętach i uroczystościach, z których każda może nam tylko przypominać doznane krzywdy. Zostawiamy wam chętnie wasze tradycje! Ale zostawcie też nam nasze świętości. My jesteśmy inni i musimy pozostać innymi. Nie my, lecz wy jedynie obwieściliśmy światu: Bóg się w człowieka zamienił. Myśmy w to nie uwierzyli. Albowiem nasz Bóg znajduje się poza formą i imieniem i — zaprawdę, — także poza człowiekiem i wszystkimi okrucieństwami ludzkiej historii. Pogardzajcie nami, ale my wzdrygamy się przyjąć wasze dobrodziejstwa, wasze urzędy i szkoły, godności i majątki. My nie chcemy być współtwórcami waszych nauk i sztuk. My chcemy dźwigać dalej brzemię golusu i getta i oczekujemy nadejścia z Betlehem Mesjasza".

Czy było możliwe takie stanowisko Żydów?

To było możliwe tylko wówczas, gdy jedno słowo Rambama, jeden wiersz Halevy'ego, jeden list Rasziego stanowił dla Żyda cały świat, gdy naród w rozprószeniu poddawał się kierownictwu swoich mędrców.

Często słyszy się zdanie: ileż to zyskał Żyd przez swój udział w kulturze europejskiej! Ileż przez to zyskała Europa! Ale nie widzi się tego, albo przyznaje się to tylko pocichu, za jaką cenę Żydzi stali się obywatelami Europy: za cenę zdrady najświętszych swoich wartości, za cenę wyrzeczenia się swoich wiekowych nadziei i marzeń!

Żydzi współcześni, wolnomyślni, liberalni, postępowi, wysoce kulturalni, przechwalają się tym, że w ostatnim stuleciu także Żydzi byli kanclerzami, ministrami, generałami, wysokimi oficerami, wielkimi badaczami, profesorami, autorytetami, kierownikami teatrów, pisarzami, poetami i Bóg wie czym jeszcze. Byłoby jednak znacznie lepiej, gdybyśmy się wstydzili tych ludzi, którzy za grosze sprzedali nasz skarb narodowy! Ludzie ci byli może tylko fosforyzującym blaskiem rozpadającego się organizmu narodowego, byli może tylko igraszką płomieni, rozjaśniających na krótko horyzont Europy, płomieni, w których się spaliło nasze szlachectwo.

Hańba wszystkim synom Izraela, którzy wolą dla rozkoszy stolic Zachodu — „poświęcać się literaturze", lub „pracować w zawodzie akademickim", zamiast dźwigać kamienie na drodze wiodącej do Jeruszalajim!

Prof. Leopold Jessner

Hebrajskie misteria narodowe — propagandą syjonizmu

Chciałbym wskazać na drogę, która od teatru prowadzi do naszego celu. Od lat całych ruch syjonistyczny prowadzi nieustanną propagandę, a wszyscy znamy jej rezultaty. Albowiem nie tylko potężna tęsknota Żydów za ojczyzną, nie tylko nędza żydowska, ale także propaganda doprowadziła do osiągnięcia tego wszystkiego, co mamy w Palestynie. Mimo to uważam, że z biegiem czasu propaganda nasza przybierze nowe formy. W dzisiejszych czasach propaganda we wszystkich krajach zajęła czołowe miejsce. Jeżeli zaś pewne, dobrze nam skądinąd znane, państwo ustanowiło oddzielne ministerstwo dla spraw propagandy, to wskazać należy, że także inne państwa, może bez takiego afiszowania, ustanowiłyły specjalne resorty propagandystyczne. Niech mi wolno będzie przytoczyć przykład z własnej przeszłości: za czasów Republiki Weimarskiej uważałem za stosowne zwrócić uwagę ówczesnemu Prezydentowi oraz rządowi na konieczność zewnętrznego podkreślania momentów narodowych, albowiem będzie to dodatnią propagandą na rzecz republiki. Kierowany właśnie myślą, organizowałem uroczyste obchody w rocznice uchwalenia Konstytucji Weimarskiej, oraz zamieniałem w uroczystości państwowe wielkie a smutne wydarzenia, jak zamordowanie ministra Rathenau'a, pogrzeby wybitnych osobistości i t. p. Uważałem, że czyniąc to, służę ówczesnej idei republikańskiej.

Jeśli zaś poruszam ten temat w dzisiejszych burzliwych czasach, przeżywanych zarówno przez żydostwo w diasporze, jak i w Palestynie, to czynię to w przekonaniu, że właśnie teraz zagadnienie propagandy winno być dla nas szczególnie doniosłe. Przypomina mi się w związu z tym pewna rozmowa, którą miałem kilkanaście lat temu w gabinecie urzędowym. Oto przyszedł do mnie niemiecki kapitan marynarki w towarzystwie przedstawiciela rządu japońskiego, który prosił mnie o nakręcenie japońskiego filmu. Spytałem się go wtedy: skoro przed dwoma miesiącami mieliście najstraszliwszy tajfun, skoro przeżywacie silną depresję polityczną, cóż pomoże wam jakiś film? Na to otrzymałem odpowiedą z ust Japończyka: „Właśnie dlatego, że mieliśmy tajfun, którego ofiarą padły tysiące ludzi, właśnie dlatego, że mówi się o politycznej depresji w Japonii, chcemy całemu światu pokazać, jaka jest Japonia na prawdę. Chcemy n.p., aby wiedziano, że w Japonii jest zabronione i uchodzi za coś brzydkiego, gdy młode parki całują się publicznie, ale z drugiej strony, uważa się za wyraz najwyższej etyki, gdy młoda matka daje piersi swojemu dziecku. Niechaj świat pozna prawdziwą, a nie fałszowaną Japonię!"

Wiemy, co propaganda zdziałała w dziedzinie sztuki i jak bardzo jest ten jej rodzaj ceniony przez rządy poszczególnych państw. Po wojnuie wszystkie nowe państwa mimo że znajdowały się w wielkiej nędzy gospodarczej, zajęły się bardzo poważnie teatrem. Wysłannicy tych państw przyjeżdżali do Berlina, aby naradzić się ze mną, w jaki sposób za pośrednictwem teatru znaleźć najsilniejszy wyraz dla literatury i idei narodowej. A także rząd niemiecki, w okresie, gdy markę niemiecką liczono w bilionach, wydawał miliony (nie zdewaluowanych!) marek na popiera- teatru w obszarach obsadzonych przez obce wojska. Przypominam też sobie, jak będąc w tym okresie komisarzem Republiki w Saarbrücken, musiałem staczaś zaciekłe walki z francuskim komendantem wojskowym, który oczekując bankructwa niemieckiego teatru, zamówił już w Paryżu dekoracje, by nazajutrz po upadku niemieckiego teatru móc zainstalować teatr francuski.

Współczesną propagandę należy rozumieć jako środek, dzięki któremu publiczność, cały w ogóle naród, czuje się rzeczywiście narodowo. Dochodząc do tego wniosku, musieliśmy zapożyczyć z dawnych czasów igrzyska masowe, w których lud bierze czynny udział. Ideę takich imprez propagandowych jest, by lud czuł się, jako integralna część całości. W tym sensie teatr, jako środek propagandowy miałby tylko drugorzędną rolę — rola główna przypadłaby ludowi, samemu robiącemu propagandę. Tak oto wracamy do igrzysk masowych, które narodziły się w czasach, gdy posługiwała się nimi propaganda kościelna. Na wzór dawnych Greków setki ludzi grało dla tysięcy.

A w czasach Republiki Weimarskiej katolicy zwrócili się do mnie z prośbą o objęcie kierownictwa nad tymi masowymi grami. Pamiętam, że dzięki tym imprezom partia centrowa zdołała bardzo silnie propagować swoje religijne idee we wszystkich prowincjach.

Analogicznie ma się sprawa z ideą palestyńską, propagowaną w diasporze za pośrednictwem referatów i broszur, filmu i teatru. Idea gier masowych byłaby tu wprost wymarzona. Należałoby w tym celu w poszczególnych krajach skupień żydowskich zorganizować specjalne towarzystwa teatralne, podobnie jak organizuje się towarzystwa śpiewacze czy muzyczne dla wykonania IX Symfonii Beethovena, koncertów Bacha, „Judy Makabeusza" Händla: kandydatów należałoby może w pierwszym rzędzie werbować z grona członków tych właśnie towarzystw. O takim towarzystwie teatralnym można powiedzieć, że reprezentuje naród, albowiem skupia przedstawicieli wszystkich warstw ludności żydowskiej: rzemieślników, robotników, kupców, akademików i t. d. Zadaniem towarzystwa teatralnego jest grać dla narodu na temat idei, mentalności i rzeczywistości palestyńskiej. Nie chodzi tu tylko o odtwarzanie tańców palestyńskich, hory i pieśni — ale o oddanie rzeczywistego obrazu Palestyny z wszystkimi jej radościami i zagadnieniami w ramach wielkiej rewii duchowej. Taka gra może być odegrana nie przez zawodowych aktorów, ale właśnie przez zwykłych obywateli żydowskich, odczuwających palestyńską rzeczywistość.

Takie igrzyska mają być inicjowane z Palestyny, ale ich wykonanie winno się dokonać w ramach miejscowych możliwości Londynu, Pragi czy Warszawy. Biorąc pod uwagę masowy charakter gier nie należy zwracać zbyt wielkiej uwagi na dekoracje, ale wrócić do zewnętrznej prostoty greckiego teatru.

Igrzyska te będą nie tylko propagandą syjonistycznej idei narodowej, ale niezależnie od tego umożliwią nareszcie popularyzacje autorów palestyńskich po za granicami Palestyny. A słowa te mówi nie jakiś fantasta, lecz człowiek przez 30 lat pracujący w tej dziedzinie i przekonany, że dla urzeczywistnienia tych idei nie trzeba koniecznie szukać wielkich środków pieniężnych. Przebywając w Palestynie, dowiedziałem się o wielu rzeczach, dotąd mi nie znanych. Buduje się most, a oto z mostu tego powstaje port. Jakby z dnia na dzień dom przeradza sie w Tel-Awiw. Oto jest styl i duch tej Ziemi Izraela!

Spróbójcie kilka miecięcy popracować, pozwólcie nam parę miesięcy pracować — a most i dom przerodzi się w propagandystycznym sensie w port i w miasto.

Garibaldi — Battisti — Mussolini

Czytamy w prasie pod datą 22 marca 1937 następującą wiadomość telegraficzną: „Z Kairu donoszą, że okręt Cesare Battisti, wiozący 2000 kolonialnych żołnierzy abisyńskich, przepłynął przed pięciu dniami Kanał Sueski, zmierzając do Marokka hiszpańskiego".

Czytając tych kilkanaście słów telegramu z Kaira, w świadomości naszej, również z telegraficzną szybkością, przesuwają się refleksje, łączące przeszłość i teraźniejszość w jedną tragiczną całość. Przed oczyma naszymi przesuwają się czyny przeszłości i teraźniejszości, dumne i bolesne, bohaterskie i zawstydzające: Garibaldi... Czerwone Koszule... Włoscy bojownicy wolności i demokracji na barykadach stolic europejskich... Niepodległość Italii, zdobyta przy pomocy rewolucjonistów i demokratów Europy... Rzym ośrodkiem postępu i wolności... Cesare Battisti... Benitto Mussolini... nawracanie grzeszników przy pomocy wiader rycyny... Abisynia... gazy trujące... Hiszpania!!!...

A szczególnie nazwisko: *Cesare Battisti*, które widnieć ma na masztach niesamowitego okrętu, wiozącego niewolników abisyńskich, rzuca się kc nam, wywołując wspomnienia niedawnej, a jednak tak dalekiej przeszłości.

Kim był ów Cesare Battisti, którego nazwisko umieściliśmy pomiędzy nazwiskami Garibaldiego i Mussoliniego?

W ostatnim dziesięcioleciu przed wojną światową spotykano w salach i kuluarach parlamentu wiedeńskiego posła, dziwnego, rzekłbyś—niesamowitego. Nie brak było wśród tych sześciuset posłów reprezentujących kilkanaście krajów i narodów monarchii austriackiej, postaci oryginalnych. Ale Reichstagsabgeordneter, o którym mowa, był dziwny. Rosły, twarz ponura, o śpiczastej romańskiej bródce, gęstej czarnej czuprynie (największej bodaj w całym Wiedniu), oczy przenikliwe, czarne i błyszczące ekstatycznym ogniem fanatyzmu. Zdumiałbyś, gdybyś ujrzał nagle jednego z wodzów goribaldijczyków czy carbonari sycylijskich. Skąd ta postać tu, w parlamencie wiedeńskim, w lekkomyślnej atmosferze naddunajskiej stolicy? A gdy zdumiony tą postacią, zwróciłeś się do jednego z c. i k. woźnych parlamentu z zapytaniem, popartym sowitym napiwkiem: „Kim jest ów Reichstagsabgeordneter?", otrzymywałeś dokładne informacje: „Ten pan z czarną brodą i dużą czupryną, to jest *Cesare Battisti*, Włoch, poseł z Trydentu, dziennikarz, pisarz i uczony, jeden z najwybitniejszych członków i przywódców włoskiej partii socjalistycznej, działającej na terenie monarchii austro-węgierskiej.

W pogranicznych prowincjach południowych Austro-Węgier mieszkało kilka milionów Włochów, wolno poddanych cesarza Austrii, którzy duszą i sercem czuli się jednak przynależni do wspólnoty z braćmi swymi, po drugiej stronie kordonu. Podziemny ruch niepodległościowy Włochów austro-węgierskich, zwany *irredentą*, miał jedno z najbardziej aktywnych ognisk w mieście Trydencie ,gdzie na czele ruchu niepodległościowo-proletariackiego stał Cesare Battisti. W włoskim ruchu irredenty wybitny udział brali przedstawiciele partii socjalistycznej. Były oczywiście w partii włoskich sojalistów w Austrii i tendencje ortodoksalno-międzynarodowe, ale przeważały wpływy kierunku niepodległościowego, którego wyrazicielem był poseł Trydentu, Cesare Battisti.

Gdy wybuchła wojna światowa, Cesare Battisti, podobnie jak dziesiątki tysięcy Włochów austriackich, musiał włożyć znienawidzony mundur c. i k. żołnierza. Sytuacja Włochów austro-węgierskich stała się tragiczna w drugim roku wojny, gdy królestwo włoskie, dotąd neutralne, wypowiedziało Austrii wojnę. Patrioci włoscy w mundurach cesarza monarchii austro-węgierskiej zmuszeni byli walczyć przeciwko wojskom Włoch, uważanych wszak przez nich za swą prawdziwą ojczyznę. Wzrastała więc z każdym dniem liczba żołnierzy austro-włoskich. Wśród „deserterów" był i Cesare Battisti. Przybywszy do Włoch, stanął jako oficer na czele oddziału wojsk Alpini i powrócił na front, walcząc po stronie swej prawdziwej ojczyzny. Podczas odwrotu dostaje się do niewoli austriackiej i rozpoznamy — staje przed austriackim sądem wojennym. Przez ulice Trydentu, które nie raz widziały triumf ognistego trybuna ludu Battistiego, prowadzą c. k. żandarmi „dezertera" Battistiego. Do krwi pobity, zmaltretowany, kurzem pokryty, kroczy Cesare Battisti dumnie, z głową podniesioną, na szubienicę ustawioną na rynku Trydentu. Otacza go nienawiść rozbestwionych obcych żołdaków i niezmierny, cichy, bo bezbronny ból — pozostałych mieszkańców Trydentu. Battisti umarł, jak bohater. Gdy mu nakładano pętlę, wzniósł okrzyk: *„Niech żyje wolna, zjednoczona republika włoska!"*

Dziś dykataor Włoch dokonał aneksji nazwiska i zasług Cezara Battistiego, podobnie jak zaanektował na rzecz swego reżymu Garibaldiego i innych wielkich patriotów i rewolucyjnych demokratów Italii. Ale wielkie nazwiska, użyte jako moralna legitymacja faszyzmu włoskiego, nie omamią nikogo. Wyczynom faszyzmu w Abisynii i Hiszpanii nie patronują świetlane duchy Garibaldiego, Battistiego i innych bohaterów Wolnej Italii, lecz ponure widma Metternichów, Paszkiewiczów i innych Windischgraetzów. Garibaldi, Battisti i Mussolini — oto trzy symbole Włoch. Garibaldi — to symbol heroizmu rewolucyjno-narodowego Włoch, Battisti — to symbol narodowego i społecznego wyzwolenia Włoch, Mussolini — to symbol szowinizmu i inmperializmu italskiego.

Wierzymy, że naród włoski — wpierw czy później — pójdzie drogą, wskazaną mu przez świetlane postacie Garibaldiego Battistiego i ich bohaterskich epigonów, jak Mateotto i inni, a wówczas nazwa *Cesare Battisti* nie będzie patronem okrętu niewolników abisyńskich, lecz będzie sztandarem wolności demokratycznej i społecznej Odrodzonych Włoch.

Jakub Zineman.

LION FEUCHTWANGER

FAŁSZYWY NERON

POWIEŚĆ

9

Frontinus był głęboko zdumiony. Propozycja Szarbila brzmiała całkowicie szczerze, arcykapłan był zdumiewająco lojalny i poprawny. Czyżby się Frontinus pomylił? Czyżby ani Varro, ani król Mallukh nie stali za owym Terencjuszem? Czyżby to wszystko miało być tylko żartem głupca, chorującego na manię wielkości? Przeciwko temu jednak przemawiał fakt, że wypadki toczyły się tak bardzo wolno, tak planowo i celowo. Frontinus, choć bardzo przebiegły, nie mógł domyśleć się, do czego istotnie zmierza arcykapłan. Jak zwykle wysuwanie na plan pierwszy króla Mallukha zdejmowało zeń wszelką odpowiedzialność. Wychwalał mądrość i wierność przymierzu wielkiego króla Edessy, wrócił zamyślony do domu i zabrał się do dokończenia dyktowanego raportu.

Jednak zdążył podyktować zaledwie kilka linijek, kiedy nadeszło nowe pilne pismo od arcykapłana. Oszołomiony, zużywając wiele słów na wyjaśnienie zmieszania swego i zatroskania, Szarbil komunikował, że ludzie, którzy zaopiekować się mieli owym człowiekiem, nie znaleźli go w domu, człowiek ten bowiem udał się do świątyni bogini Tarate, uciekając się do prawa azylu.

Frontinus gwizdnął przez zęby. Świątynia Tarate była uznanym azylem. Władze urzędowe Edessy nie mogły wtargnąć do azylu, nie mogli dokonać tego również Rzymianie, o ile nie chcieli podburzyć przeciwko sobie całego Wschodu. Teraz zrozumiał, dlaczego Szarbil tak nalegał o chwilę rozmowy. Arcykapłan chciał przeszkodzić temu, aby on, Frontinus, ujął tego człowieka, zamierzał we właściwym czasie przenieść go do azylu bogini i uchronić przed zakusami Rzymian. A wszystko w taki sposób, aby jemu, Szarbilowi, Rzym nie mógł nic zarzucić. Rozmowa z Frontinusem miała dlań stworzyć alibi. Król Mallukh zgłosił zamiar ujęcia tego człowieka, choć to wykraczało poza jego obowiązki, i trzymać do dyspozycji rzymskiego gubernatora. Z chwilą jednak, gdy ten Terencjusz, lub kimkolwiek on był, schronił się pod opiekę bogini Tarate, on, Szarbil, i pan jego, król, Mallukh, nie ponoszą żadnej odpowiedzialności.

Frontinus uśmiechnął się z uznaniem dla wschodniej przebiegłości. Teraz dopiero rozpocznie się ruch w Mezopotamii. „Straszak będzie musiał się jeszcze niejednokrotnie prostować", — pomyślał w dobrej łacinie.

Na krótko przed tym pomyślał to samo w dobrej aramejszczyźnie arcykapłan Szarbil.

16.

GOŚĆ BOGINI TARATE.

Terencjusz zatem znajdował się w świątyni Tarate, w najgłębiej położnym pomieszczeniu, w „celi", gdzie wznosił się prastary posąg bogini, jej ołtarz i jej rozwiązłe symbole. Od czasu owacji w teatrze czuł się nieswojo i nosił się z myślą zniknięcia w swym labiryncie na tak długo, póki nie pojawi się Varro i nie wyjaśni sytuacji. Kiedy jednak zjawił się u niego człowiek, którego strój, właściwy kupcom ,umyślnie źle maskował kapłana Tarate i zażądał odeń jaknajszybszego udania się do azylu bogini, poszedł za nim bez wahania na ślepo oddychając z ulgą; czuł, że znajduje się w potężnych i dobrych rękach.

Spodziewał się, że arcykapłan powita go, jako gościa bogini, że zapewni go o jej opiece, że przyjmie go godnie. Nic się jednak nie przydarzyło. Pozostawiono go samego w wąskim, nieprzyjemnym pomieszczeniu, w nieświadomości swego losu. Szarbil, podobnie jak Varro, uważał za wskazane przetrzymać go nieco, aby stał mu się bardziej powolny.

Nadeszła noc, bynajmniej dla Terencjusza nie miła.

Świątynia Tarate była duża. Spędzenie nocy na jej podwórcu bynajmniej nie sprawiłoby mu prykrości; czuło się tam życie, pośrodku znajdował się staw z rybami bogini i niezliczone białe gołębie, będące świętymi ptakami. Nawet w samej świątyni nie było najgorzej, chociaż można sobie było wyobrazić przyjemniejsze schronienie nad tę olbrzymią salę o prastarych, czarno zielonych zwężających się u góry kolumnach. Terencjusz jednakże nie wiedział, czy prawo azylu bogini rozciąga się na całą świątynię, czy też ogranicza się tylko do celi ołtarzowej, gdzie stał jej posąg. Cela ta zaś, do której przez wąską szczelinę wdzierało się tylko skąpe migotanie księżyca i gwiazd, była ciasna i niemiła i Terencjusza nawiedzały w niej przygnębiające wizje. Wyciągnął się na najwyższym stopniu ołtarza, usiłując z lękiem dotykać go ręką, mgliście bowiem wyobrażał sobie, że ten, kto domaga się opieki od bogini, musi trzymać się jej ołtarza lub jej posągu. Po obu stronach ołtarza wznosiły się w niepewnym świetle księżyca symbole bogini, olbrzymie kamienne phallusy. W głowie Terencjusza, w niszy nad ołtarzem stał poczerniały bronzowy, prastary, dziwaczny posąg bogini Tarate. Nosiła na głowie koronę, stromo wznosiły się jej nagie piersi, tułów kończył się rybim ogonem. W jednej ręce trzymała wrzeciono, w drugiej bębenek. Jej wąska, prastara i mimo to młoda twarz o zamkniętych oczach uśmiechała się do przybysza, słodko, dwuznacznie i okrutnie.

Wraz ze zbliżaniem się nocy, Terencjuszem jęły wstrząsać dreszcze. Zniknęło uczucie pewności, jakiego doznał w chwili przybycia wysłańca Tarate. Do jak długiego, poniżającego czekania chce się go zmusić? Dlaczego nie przychodzi arcykapłan, aby go wreszcie powitać? I gdzie jest Varro? I dlaczego pozostawia go się tak samego w niepewności, z chwilą gdy się pragnie, aby był cesarzem? I czy w ogóle jest tu bezpieczny? Może wciągnięto go w pułapkę? Przepełniał go co raz bardziej wzrastający lęk, gniew na ludzi, którzy namówili go do wdania się w tę przygodę i schronienia się tu i pragnął bardzo, aby przynajmniej Caja albo nie wolnik Knops znaleźli się przy nim.

Uciekł się do swej wiary w samego siebie. Przybrał postawę Nerona, stał się cesarzem, samotnym i wyniosłym, górującym ponad wszystkimi. Tak się godziło. Nikt nie mógł mu zrobić nic złego — był panem świata. Z zewnątrz dobiegało gruchanie świętych, białych gołębi, którym coś przerwało na chwilę sen, przez szczelinę sączyło się księżycowe światło i bogini uśmiechała się tajemniczo i złośliwie. Hańbą dla wszystkich ludzi Wschodu był fakt, że on, cesarz, musiał uciec się pod opiekę tej dwuznacznej bogini i jej nieprzystojnych symbolów. Natychmiast **jednak pożałował tej myśli**, którą Tarate zrozumieć mogła jako bluźnierstwo, on zaś był teraz przecież w jej ręku.

Głęboko oburzony był na aktora Jana z Patmos. To on swoją głupią recytacją „Oktawii" wprowadził go w takie położenie, przy tym zaś on sam, Terencjusz, gdyby tylko zechciał, mógłby być znacznie większym artystą, niż ten nędzny chrześcijanin. Edyp tego Jana! Całkowicie fałszywe ujęcie i bez należnego polotu. Gdyby Jan znał się coś nie coś na sztuce, zrozumiałby z pewnością, że w nim, w Terencjuszu, kryje się coś poważniejszego. Tłum swym zdrowym instynktem zauważył to odrazu. Tylko snoby, tych paru ludzi na żołdzie Tytusa, te zapłacone przezeń kreatury, nie chcą tego uznać. Przez nich właśnie musi się tu ukrywać.

Ale to już nie potrwa długo. Będzie mógł wreszcie zdruzgotać ich, zdruzgotać wszystkich swych przeciwników. Notował sobie w duchu przywódców zwolenników Tytusa w Edessie, wplatając do nich i tych, których osobiście nie znosił z jakiekolwiek bądź przyczyny. Ludzi, z którymi miał osobiste nieporozumienia, konkurentów, kolegów z cechu, o których sądził, że przypisują mu zbyt mało znaczenia. W końcu powstała całkiem pokaźna lista. Zadał sobie pytanie, czy ma między nimi umieścić również Caię, tę zuchwałą sceptyczkę. Nie dokończył jednak tej myśli i nie powziął decyzji. Natomiast jął wyobrażać sobie w jak rozkoszny skomplikowany sposób mścić się będzie na tych, których uważał za swych jawnych wrogów.

Zimno mu było co raz bardziej. Wstał, chodził tam i z powrotem, ciągle na najwyższym stopniu, wzdłuż ołtarza tak, że w każdej chwili mógł go dotknąć, gdyby wtargnęli tu żołnierze Fronta, aby go zabrać. Lekki, słodkawy, mdlący zapach wznosił się z rynienki pod ołtarzem, przeznaczonej do odprowadzania krwi ofiar. Tej nocy długo nie zapomni. Owa noc powrotu z Palatynu, po wtargnięciu żołnierzy i dzisiejsza noc to dwie złe stacje jego drogi. Ale ta noc skończy się przecie. Nadejdzie dzień. Nadejdzie on, dzień ów. Okazało się, że sen matki został właściwie wytłumaczony, odbył już większą część drogi w górę, ten początek był najbardziej stromy i najcięższy, gdy zaś nadejdzie dzień, gdy pozbędzie się tego przeklętego drżącego światła, wówczas poznają wszyscy, kim jest. Stał, wysunąwszy dolną wargę, z niezadowoloną miną, władczy. Podniósł szmaragd do oka, przyjrzał się krytycznie, wyzywająco posągowi Tarate. Nie imponuje mu, w ogóle cała świątynia mu nie imponuje. Kiedy będzie u szczytu, będzie budował inaczej. Wzniesie monumentalne budowle, olbrzymi posąg własny, któremu w Rzymie odrąbano głowę, odtworzy na nowo w jeszcze większych rozmiarach. Wyrzeźbi w skale swój posąg, jak czynili to dawni królowie. Przede wszystkim zaś labirynt, jego labirynt, każe rozbudować jako cmentarzysko, jako swe mauzoleum i stanie się ono ósmym cudem świata.

Bogini jednak uśmiechała się słodko i złośliwie i ogarnął go lęk przed swą własną wielkością.

Odczuwał teraz potrzebę oddania moczu. Nie ważył się zrobić tego w celi. Kto wie, mogą to potraktować jako obrazę bogini, on zaś sprofanowawszy świątynię straci prawo azylu. Męczył się jednak coraz bardziej. W końcu wcisnął się poza ołtarz i zaspokoił potrzebę, z uczuciem ulgi i jednocześnie szalonego lęku.

Nad ranem, bardzo wyczerpany otulił się szczelniej płaszczem i wyciągnął się z mocną wolą snu na najwyższym stopniu ołtarza, tuląc się doń jak najbliżej. Pociągnął nosem, aby przekonać się, czy nie czuć woni moczu, aby się uśpić powtórzył w pamięci tekst Edypa i w końcu wreszcie zasnął.

Gdy się ocknął, członki miał skostniałe, ale w celi było już ciepło. Znajdowali się tu ludzie: przeraził się. Nie byli to jednak Rzymianie, lecz młodzi kapłani Tarate, składający koźlątko w porannej ofierze. Przyglądał się im, schowany w kącie, obawiając się, że odnajdą ślady jego przestępstwa. Kapałni jednak odprawiali modły, nie zwracając nań uwagi. Po złożeniu ofiary, wyleli strumienie wody na ołtarz, aby go oczyszczyć, i teraz minęło wszelkie niebezpieczeństwo, grożące Terencjuszowi.

Wstawał dzień. Cela napełniła się kapłanami. Z ciekawością przyglądali się człowiekowi, który schronił się u ołtarza bogini. Nikt doń nie przemówił. Terencjusz przybrał znów obojętny wyraz jak zwykle,.

Odetchnął z ulgą, gdy nadszedł nareszcie arcykapłan Szarbil. Musiał mu przecie przynieść jakieś rozwiązanie, złe czy dobre.

Szarbil przypuszczał, że Terencjusz jest już teraz dostatecznie miękki. Nałożył uroczysty strój, aby powitać gościa bogini: szpiczasty kapłański kapelusz koronował jego prastarą ptasią twarz. Ze czcią powitał człowieka, znajdującego się pod opieką Tarate, podnosząc w górę ręce z wyciągniętymi dłońmi. Terencjusz odpowiedział mu równie czołobitnie.

Następnie arcykapłan zapewnił go o opiece bogini. Terencjusz nie dał poznać po sobie, jak bardzo go to uspokoiło, podziękował tylko grzecznie, obojętnie. Szarbil, po wielu kwiecistych zwrotach, spytał. „Czy mogę prosić, gościu bogini Tarate, abyś wymienił jej kapłanowi swe imię?" Szarbil mówił po aramejsku, co. „Bogini znane jest moje imię", — rzekł. — „Czy jesteś, panie, się w obcym języku mógł odpowiedzieć z wahaniem i wymijająco. „Bogini znane jestmoje imię", — rzekł. — „Czy jesteś, panie, cesarzem Neronem?" — spytał bez dalszych omówień kapłan. Było to nie grzeczne, a może nawet niedyplomatyczne. Ale arcykapłan Szarbil był bardzo stary i nie wiele miał już czasu, ponadto zaś był ciekawy. Terencjusz jednak pilnował się, aby nie dać głupiej odpowiedzi. „Jestem tym człowiekiem, — jakim uczynili mnie bogowie".

W głębi duszy był bardzo zadowolony, że nie sam musiał podać się za Nerona, lecz że inni dopatrywali się w nim cesarza. Szarbil zaś pomyślał: „To mądry człowiek. Zasłużył na to, aby być Neronem."

17.

STRASZAK I WSCHÓD.

Gdy doniesiono gubernatorowi Ceionowi o tym, że wielu ludzi w Mezopotamii uważa niejakiego garncarza Terencjusza za zmarłego cesarza Nerona, Ceion, zdumiony takim brakiem rozsądku, potrząsnął tylko głową i roześmiał się. Jak można się było wziąć na tak prostackie oszustwo! Widać raz jeszcze, jakimi barbarzyńcami są ci ludzie po drugiej stronie Eufratu.

Kiedy następnie pułkownik Frontinus zameldował, że garncarz Terencjusz schronił się do świątyni Tarate, skąd Rzymianie nie mogą go wydostać, nie narażając się na złamanie umów i poważne niebezpieczeństwo, był ciągle jeszcze raczej rozbawiony, niż zaniepokojony i dziwiło go to, że jego doradcy przypisują wagę temu śmiesznemu zdarzeniu. Uprzejmie, nieco ironicznie i dumnie napisał do rządu króla Malluk ha, prosząc o okazanie wszelkiej możliwej pomocy jego przedstawicielowi Frontinusowi w myśl istniejących umów w sprawie zarządzonego przezeń aresztowania rzymskiego poddanego Terencjusza Maximusa. Wiadome mu jest, jakoby wspomniany Terencjusz powołał się na prawo azylu bogini Tarate. Gdyby na terytorium jakiś człowiek, poszukiwany przez władze Edessy, uciekł się do prawa azylu głodem, lub wykurzyć nie wątpiąc o powodzeniu. Byłby zobowiązany rzymskiej świątyni, wówczas on, Ceion, spróbowałby go wziąć panom z Edessy, gdyby zechcieli jak najszybciej załatwić tę sprawę.

Większość doradców króla Mallukha składała się z Arabów, czczących arabskich bogów gwiazd Aumu, Aziz i Dusaris, nie zaś syryjską boginię Tarate. Mimo to marszczyli brwi, czytając pismo gubernatora, tak pozbawionym szacunku tonem mówił Rzymianin o ukochanej bogini Syryjczyków.

Mallukh i Szarbil siedzieli w cichej, zawieszonej dywanami komnacie. Długie pauzy dzieliły ich słowa. Fontanna szemrała. „Ów pan na Zachodzie, — odezwał się głębokim, spokojnym głosem król, — zdaje się nie odczuwać zbytniego strachu przed twoją boginią Tarate, kapłanie Szarbilu". „Wiele państw powstało i minęło na Zachodzie, — odparł kapłan, — a bogini Tarate od trzech tysięcy lat wyciąga rękę nad swym stawem i ryby jej pływają, jak przed trzema tysiącami lat". „A więc nie chcesz brać głodem tego człowieka w świątyni?" — spytał król. Leciutka drwina z Rzymian drżała w jego spokojnym głosie. „Jestem daleki od myśli, — odparł Szarbil ze szlachetnym oburzeniem, — wyrządzenia takiej obrazy bogini Tarate. Jest dość bogata, aby żywić tego, który schronił się u jej ołtarza".

Na Wschodzie ludzie mają wiele czasu. Król Mallukh pozwolił upłynąć dwum tygodniom, zanim odpowiedział na pismo rzymskiego gubernatora. List jego rozpływał się w długich, poetycznych zdaniach nad tym, jak wielkie jest państwo rzymskie i jak wielka bogini Tarate. Palącym jego, króla Mallukha, życzeniem jest służenie jego rzymskim przyjaciołom, ale równie mocna jak skała jest jego wierność zaprzysiężonemu słowu, kiedy zaś dzięki łasce niebios przejmował koronę, zaprzysiągł szanować wsystkich bogów tego kraju. Nie pozostawało mu zatem nic innego, prócz przekazania pisma gubernatora arcykapłanowi Tarate, którego odpowiedź załącza. Ze swej strony Szarbil wykładał w zawiłych zdaniach, że głęboka jak morze jest część, składana przez kraj Edessy bogini Tarate. Jakkolwiek wielkie jest jego, Szarbila, pragnienie dopomożenia swemu potężnemu przyjacielowi na Zachodzie, to jednak niemożliwe jest dotknięcie choćby gościa bogini Tarate, który schronił się pod jej opiekę. Takie pohańbienie swej świętości bogini pomściłaby straszliwie, ogniem i wodą, piorunem, mieczem i zarazą, nie tylko karząc Edessę, ale całą Syrię. Nie musi przecież tłumaczyć tego człowiekowi tak mądremu, jak rzymski namiestnik.

Ceion, otrzymawszy kwieciste listy barbarzyńskiego króla i barbarzyńskiego kapłana, niechętnie rzucił je na stół. Wschodni panowie zużyli czternaście dni, zanim zdołali wygotować swe pisma, jemu zaś godziny nie trzeba było na to, aby im odpowiedzieć. Zażądał władczo, aby arcykapłan Szarbil, pan świątyni Tarate, natychmiast przybył do Antiochii celem załagodzenia konfliktu.

„Ci Rzymianie, — skonstatował, siedząc w komnacie z fontanną arcykapłan Szarbil **podczas rozmowy z** królem Mallukhem, — nie wiele wiedzą o naturze istot żyjących. Dlaczego miał by nie udawać się do jaskini lwa i to w dodatku natymiast?" Po upływie dwu tygodni wysłał do Antiochii odpowiedź, że jakkolwiek zaszczytem jest dla niegodnego Szarbila zaproszenie zachodnieego pana, nie może on jednak, niestety, uczynić mu zadość. Teraz jest bowiem pora, w której święte ryby w stawie bogini Tarate przechodzą okres tarła. Niemożliwością jest zatem, aby arcykapłan w czasie tak doniosłych zdarzeń opuścił pobliże bogini, nie narażając się na jej gniew i na spowodowanie nieszczęścia na kraj.

Dotychczas Ceion śmiał się z tej taniej komedii, którą ów mały rzymski osust, garncarz-wyzwoleniec odgrywał na Wschodzie. Teraz rozgniewał go drwiący i uparty sprzeciw żebrackich książąt Edessy. „Zabrać się do nich, — urągał w myśli, otrzymawszy odmowę Szarbila. — Wysłać żołnierzy do Edessy, sześć, osiem tysięcy ludzi. Zobaczylibyśmy, gdzie byłaby wówczas ta bogini Tarate wraz ze swymi rybami i tą całą hołotą".

Przez czas jednak swego pobytu na Wschodzie nauczył się już dość tego, aby szybko opanować ten atak pasji. Nie można było narażać się na możliwość obsadzenia Mezopotamii i wojny z Artabanem celem dostania w swe ręce tego śmiesznego Terencjusza. Z wężową gładkością i kwiecistą przebiegłością tej wschodniej hołoty walczyć można tylko dyplomatycznymi środkami. Majaczyło mu w myśli, że owo wystąpienie Terencjusza może być czymś więcej, niż osobistym trick'iem szalbierza, że może stoją poza nim jacyś potężniejsi, pewni partyjscy dostojnicy. Może Varro miał jednak słuszność, radząc mu uznanie Artabana.

(c. d. n.)

Dr. Max Nussbaum

PRZEŻYJCIE RAZ WIELKĄ MIŁOŚĆ...

Gdy się zastanawiam nad położeniem żydostwa zachodnio-europejskiego, gdy uświadamiam sobie grozę, jaka cechuje stosunki jego z nieżydowskim światem, — żywo staje w mej pamięci scena z wystawionej niedawno na deskach teatru Żydowskiego Kulturbundu w Berlinie sztuki Rabindranath Tagore: „Urząd pocztowy".

Oto w małej izdebce siedzi młody chłopak — zwie się Amal (czyżby imię jego pozostawało w związku z hebrajskim słowem „amal" — ciężar, jarzmo?) i osaczony cieniem śmierci, przygląda się przez otwarte okno żywo tętniącemu życiu, w którym nie bierze żadnego zgoła udziału. I on kiedyś przechadzał się z innymi po ulicy. Dziś jest chory. Życie płynie mimo to dalej. Ponieważ jednak młodzieńca ogarnia głęboka tęsknota za życiem, najprzeciętniejsze postaci ulicy: dozorca nocny, mleczarz, kwiaciarka... nabierają dlań wyjątkowego znaczenia i urastają do rozmiarów fantastycznych wprost postaci. Wszystkie one są w oczach chłopca ucieleśnieniem *życia*. Kocha je bardzo nieszczęśliwy młodzieniec i dlatego codzień oczekuje listonosza z listem od króla. Z listem, który mu przywróci wolność i wprowadzi go z powrotem w życie. I pewnego dnia wysłannik króla przyszedł. Była nim śmierć, która przywróciła chłopcu... inną wolność.

Stosunki nasze ułożyły się w ten sposób, że nie możemy na wszelkie zjawiska patrzeć inaczej, jak tylko pod żydowskim kątem widzenia. Tak też patrzymy na wzruszającą scenę z chorym chłopcem Amal. A gdy na parę chwil przymykamy oczy, przewija się przed ciemnią naszej wyobraźni tragiczny obraz niemieckiego żydostwa. Co się właściwie stało z nami w latach ostatnich?

Przechadzaliśmy się kiedyś wraz z innymi narodami po ulicy życia. Potem musieliśmy je opuścić i wtłoczeni zostaliśmy z powrotem do własnego, małego pokoju. Siedzimy tam, przy co raz bardziej zwężającym się oknie, i przyglądamy się poprzez co raz bardziej mglistą szybę płynącemu z zewnątrz nas życiu. A gdy doprowadzamy myśl tę do końca, to nagle niejedna karta naszych tragicznych dziejów staje się dla nas jasna. Cóż innego bowiem stało się z życiem żydowskim w ostanich dwóch tysiącach lat, jak to *ciągłe, stereotypowe obracanie się sceny między życiem na „ulicy" a życiem we własnym „pokoju"?* Czyż nie było tak zawsze? Czyż nie jest „okno" dwutysiącletnim symbolem rozproszenia? Właściwie, wszystko już kiedyś było; również i ostatnie lata nic nowego, prócz jeszcze jednego obrotu sceny, nie przyniosły.

*

Przez samo stwierdzenie, że rzeczy często się powtarzają, nie uchraniamy się jeszcze przed złym ich wpływem. Ale myśl ta kojarzy pamięć naszą, ze smutnym, wstrząsającym faktem: dlaczego oblicze ludzi, którzy scenę tę przeżywali przed setkami lat, było inne, tak z gruntu inne od oblicza ludzi dzisiejszych? Nie należę bynajmniej do tych, którzy wszystko co stare, gloryfikują, a wszystko nowe za złe uważają. Dawni Żydzi byli w równym stopniu, jak my, dobrzy i źli. I nie należy zawsze — chociażby nawet dla pietyzmu — apoteozować tego, co było dawniej. Mimo to jednak pragnę bez cienia sentymentu stwierdzić w tym miejscu, że poprzednie pokolenia inaczej na te zjawiska reagowały, inaczej na świat patrzyły i zupełnie co innego przez „okno" widziały.

Przytoczę na to przykład. Niedawno pisaliśmy w tym miejscu o epoce, niezwykle współczesność naszą przypominającej, i o mężu, którego życie może być symbolem i naszego życia: o epoce z r. 1492 i o wielkim naszym synu, Abrabanelu. Człowiek ten, który kilkakrotnie w swym życiu zrobił wielką karierę polityczną, był ministrem skarbu w Portugalii, Hiszpanii, Neapolu i Wenecji i wiele dobrego dla krajów tych zdziałał — doczekał się tego, że ry do nizin życia prywatnego, życia bez stanowiska i rozgłosu. Wszystko dlatego, że był Żydem. I cóż uczynił Abrabanel? Gdy „ulica" zapędziła go do własnego „pokoju", gdy przykuty został do swego biurka, począł pisać komentarze, wybitne dzieła naukowe. I tak powstał jego system strącony został z wyżyn politycznej kariemesjanistyczny. Zmiana sceny życia wzbudziła w Abrabanelu wielką i twórczą *miłość* do jego narodu. Świat tej miłości natchnął go takim realizmem i do tego stopnia zburzył poprzedni jego świat, że Abrabanel mógł się w pewnym miejscu tak oto wyrazić: „Może dlatego wszystko się stało, że zaniedbałem Tory".

*

Gdy z tego punktu widzenia spojrzeć chcemy na oblicze Żydów w Niemczech i pod tymże aspektem je opisać, gdy mówić chcemy o tych, co od lat kilku siedzą w swym domu i obserwują życie, które płynie mimo nich, — to wstrząsnąć nami musi niepewność konturów i zastraszająca odmienność oblicza dawnych Żydów, ukaranych podobnym losem. Sądziliśmy kiedyś, że przeżycia Żydów niemieckich uświadomią im istotę żydostwa do tego stopnia, że nowy świat zniweczy doszczętnie stary. Był to wielki błąd. Nie było przeżycia wielkiej miłości. W najlepszym razie było uczucie zakochania się. Wracali do nas ludzie — z ciekawości, z przekory, z oportunizmu. Ciekawość rychło została zaspokojona. Przekorą chciano zadokumentować, że i my mamy swój własny świat, który można cenić. Trzecim motywem była praktyka oportunistyczna: chciano się dostać do Palestyny i trzeba się było jakoś dokoła tych rzeczy zakrzątnąć. Taki stan jest zgubny. Nie mówię o tych kołach, które lada dzień mają wyemigrować, abstrahuję również od tych sfer, które gospodarczo zrujnowane zostały do szczętu. Od nich niczego wymagać nie można, Mam na myśli — jeszcze dziś wielką—trzecią warstwę, która dotychczas tego wszystkiego, co się dzieje, *na własnej skórze nie odczuła*, która powstała na peryferiach naszego narodu, ściślej mówiąc, w korzytarzu, prowadzącym do peryferii. I dlaczego tak jest? Bo zabrakło tego wielkiego, jak u Abrabanela, *przeżycia miłości do narodu*. Powiadają niektórzy, że ludzie nie mogą w tak krótkim czasie wchłonąć w siebie całej, tak bogatej, istoty żydostwa. Ci co tak mówią, nie zaznali chyba nigdy uczucia tęsknoty. A jest to uczucie, które pokrywa wielkie odległości, które zbliża dalekie od siebie światy, które w ciągu jednej chwili przywraca to, czego okrutne życie pozbawiło nas w ciągu dni, tygodni, miesięcy, lat całych. Gdyby straszne przeżycia naprawdę wstrząsnęły żydostwem niemieckim, gdyby odczuło ono nie uczucie zakochania się, jeno uczucie wielkiej miłości, gdyby porwała je tęsknota do narodu naszego, — to przeżyłoby ono stulecia naszego rozwoju w ciągu jednej chwili. I wtedyby do nas *naprawdę wróciło*.

*

W ostatnich dniach wystawił Max Reinhardt w Nowym Jorku dramat biblijny Franza Werfla. Musiano dla tego celu wybudować specjalną pięciopiętrową scenę. Widowisko tak oto wyglądało: na dole, na parterze, stał rabin w otoczeniu swej gminy odczytywał na głos biblię. W miarę odczytywania pięcioksięgu poczęły się na górnych piętrach rozgrywać sceny smutne, tragiczne, tylekroć się powtarzające. I spójrzcie: te tak różne i w tak odmiennych epokach rozgrywające się sceny nagle stały się harmonijnie zgodne z tekstem biblii. Wielkie słowo Biblii ogarnęło całą pięciopiętrową przestrzeń, rozpostarło swe skrzydła i objęło całą trzydziestowiekową historię naszego narodu jednym wzniosłym pojęciem: pojęciem wiecznej miłości.

O to mi właśnie chodzi: o wieczną miłość do narodu, jego ducha i jego istoty.

*

Nie wierzę w to, aby epilog tragedii żydostwa niemieckiego był podobny do smutnego zakończenia życia młodego Amal, ze sztuki Tagore. Wierzę raczej, że list wolności, którego oczekujemy, będzie listem życia, a nie śmierci. Ale na to wszystko należy być przygotowanym. Aby móc spójrzeć w słońce, należy oko uzbroić w szkło ochronne. Pokolenie nasze musi się w nim obudzić. Na to nie ma żadnego lekarstwa. Ale wydaje mi się to być najsilniejsze w naszych czasach i dlatego nie przestaniemy ludziom o tym przypominać. To, czego żądam, jest dla życia naszego ważne nie tylko z żydowskiego punktu widzenia. przecież łączy się ono z tą odrobiną szczęścia, której w życiu pragniemy, a bez której trudno nam znosić najlżejsze bodaj przeszkody. *Jałowe pokolenie, które opuścić musiało „ulicę", a w „pokoju" swym nic nie stworzyło, które ograniczyć się musi tylko do wyglądania przez „okno" na otaczający je świat i do rozpamiętywania przeżytych tragedii, — pokolenie takie czeka pewnego dnia wielkie nieszczęście.* Wyczytać to można z bladych, zmęczonych, zaniepokojonych twarzy Żydów niemieckich. Nie idzie o to, czy życie z zewnątrz nas popłynie bez nas dalej, czy też nie. Zapewne potoczy się ono dalej swoim własnym torem. Zagadnienie całe sprowadza się do takiego oto żądania: pozostać we własnym „pokoju", przeżyć raz wielką *miłość* do narodu, wtedy szeroko otworzyć „okno", aby życie ujrzeć piękniejszym, wspanialszym, tysiąckroć bogatszym — i w życiu tym się nie zgubić!

Wierzę w życie i w list wolności, który kiedyś do nas nadejdzie. Ale wierzę w życie dla jednej jego wielkiej, wiecznej wartości: *dla miłości*.

Berlin, w marcu 1937.

Leon Baumberg

Namuł i perły w kastalskim zdroju

Mieczylaw Braun: Żywe stronice. Warszawa 1936. Nakład księgarni Ferdynanda Hoesicka.

W ostatnich wierszach Mieczysława Brauna, zawartych w tomie „Żywe stronice", dominuje wyraźnie pierwiastek refleksyjny i filozoficzny. Tragizm przemijania, wszechpotężny czas, który na wszystkim pozostawia niezatarty ślad, który niszczy i wskrzesza, burzy i buduje, jest przedmiotem ciągłych rozważań poety. Pojęcie czasu, wyzbyte z wszelkich cech materialnych, gęstnieje jakoby w wierszach Brauna, przybiera formy ściśle fizyczne, staje się czymś uchwytnym i widzialnym, czymś, co można dotknąć, zobaczyć i wymierzyć. Dzięki plastycznym metaforom, które pojęcia abstrakcyjne i metaficzne sprowadzają do kategoryj codziennych i zwykłych zjawisk, Braun osiąga zorówno realistyczne efekty, jak i głębię filozoficznego odczuwania otaczającego nas świata:

Cienka linia odkreśla
Ziemię i niebo. Pełnia.
Obłok wyrasta, jak drzewo
Z nieruchomego pnia.
Wiąże miesiące latami.
Widzę:
Wieczność wypełnia
Dno dnia.

Najwyraźniej chyba uwydatnia się ów tragiczny, a przecież nieuchronny pęd czasu w wierszu p. t. Rok świetlny.

Prędzej i prędzej, otchłani więcej
Zalewa świat.
Wpadają krople dni i miesięcy
Do świetlnych lat.

Ledwo rozpocząłeś życie i nabrałeś w piersiach potrzebnego oddechu, a już *spływa godzina jedyna, bliska, do snu, do snu*. Nie znaczy to bynajmniej, by Braun był poetą pesymistycznym. W ewolucji, jakiej ulega wszystko co żyje, istnieje nie tylko dążenie do śmierci, ale także nieprzezwyciężona chęć życia i wytrwania. Gdy cały świat runie w gruzy, gdy miasta i piramidy zamienią się w proch — *„...padnie łza i uśmiech błyśnie, i znów się proch zamieni we mnie"*. (Z wiersza p. t. „Wiem"). Z jednej więc strony silna afirmacja życia, co wyraźnie uwydatnia się w takich wierszach jak np. „Na wsi"— z drugiej zaś — owo głębokie przeświadczenie o znikomości trudów i wysiłków ludzkich, ginących w otchłani czasu i przestrzeni. Wychodząc z takiego nastawienia poetyckiego, wytłumaczona będzie rezygnacja, dźwięcząca stłumioną nutą w wielu strofach i jasnym stanie się bunt poety, który częstokroć nabiera zabarwienia nawet religijnego w sensie walki z przeznaczeniem, z Twórcą, z ostatecznym losem. Doskonale ilustruje ów nastrój poetycki wiersz „Krzyk ostateczny" i w pewnym stopniu także „Nadejście". Religijność Brauna zbliża go do tej jedynej Księgi, która zawiera najszlachetniejsze i najwyższe akcenty walki człowieka z przeznaczeniem, a mianowicie: do Biblii. Charakterystyczne: nowoczesny poeta, operujący najbardziej nowoczesnymi akcesoriami poetyckiego rzemiosła, poczuł się duchowo bliski Biblii i nasiąknął atmosferą i klimatem biblijnego wersetu. Stąd liczne motywy wzięte bezpośrednio z „Księgi Ksiąg" (np. piękny poemat „Potop") lub pośrednio, opierając się tylko na przesłankach biblijnych (wspominamy już „Krzyk ostateczny").

Wiersz Brauna jest czysty, melodyjny, precezyjnie skonstruowany. Jest to szkoła skamandrycka w najlepszym rozumieniu tego słowa. O czystości jego wiersza, o mocnych i prężnych rymach — niechaj poświadczy chociażby następująca zwrotka:

Jak skrycie brzeczą złociste ule!
Jak błyszczą sady i stawy w szkłach!
Pod kosą siwych i kosych ulew
Paruje ziarno, siano i piach.

Juliusz Wit: Lampy. Warszawa 1937. Nakładem Gebethnera i Wolffa.

Pamiętamy wiersze Wita z dwóch poprzednich tomików („Z dziesięciu stron" i „Pluski"). Była to czysta liryka, utrzymana na wysokim poziomie, której tematem jest zawsze młodość, miłość i wiosna. Juljusz Wit umiał odnaleźć w każdym z tych elementów nowe, niezbadane piękno, umiał wydobyć z tak wyświechtanego pojęcia wiosny barwną gamę oryginalnych metafor, motyw miłości uczynić ciekawy i frapujący, a młodość zasugerować nam w doskonale młodzieńczych, dynamicznych wierszach. Niewątpliwie i w trzecim zbiorze „Lampy" pozostało jeszcze wiele z dawnego Wita. Ale niepokój życia, który w poprzednich wierszach był ledwo dostrzegalny, teraz rozrósł się do rozmiarów leitmotywu. *Maj* to już nie tylko szalejące zielenią ogrody, rozpęd i rozkwit, ani *„ludzie płynący jedwabnie aleją"*. Z błyszczącego mosiądzu trąb nie wytryska już fontanną wiosna. Teraz pozostało z tych wszystkich lekkich i młodzieńczych przeżyć tylko wspomnienie:

tu na tym progu siedzieliśmy
ukochana i młoda
w porannym słońcu
jaki dzień ten daleki
jakie dalekie są słowa
wiosna
słońce
poranek.

W miłosnym wierszu *„Maki"* jest więcej bólu i goryczy niż szczęścia:

„noc płonęła księżycem
ramionami
ustami
i nie zgasła
aż dzień zakrzyczał".

A dalej:

„na obcej pościeli
leżały maki powiędłe
pomięte płatki:
pocałunki
ciała
spalone księżycem
nocą
upałem".

W „Lampach" coraz częściej dochodzą do głosu obce zupełnie dawnej poezji Wita — akcenty społeczne („Dym i Londyn"). Coraz częściej występuje jesień, a na jej tle — szare mury więzienia i *„płyną pod niebem wrony kraczące i czarne"*. Zwrot, jaki dokonał się w poezji Wita, jest niewątpliwie wynikiem ewolucji jego talentu, który ostatecznie już okrzepł, dojrzał i skrystalizował się. Ewolucja tego poety przypomina (oczywiście w mniejszym zakresie) dzieje Wierzyńskiego, który od „Wiosny i wina" doszedł poprzez długi rozwój do „Gorzkiego urodzaju". Nastrojowe, szampańskie wiersze ustępują miejsca trudnym i bolesnym przeżyciom. Sięgają one daleko głębiej w istotę rzeczywistości, wydobywając z niej ów gorzki urodzaj i cierpki smak pomiętych maków.

Ostatnie wiersze Wita, w przeciwieństwie do poprzednich, mają charakter nawskroś awangardowy zarówno pod względem formy jak i tematyki. Odjęło to może jego wierszom wiele wdzięku i zewnętrznego uroku, przyniosło jednak w rekompensacie syntetyczną, skupnioną metaforę, słowo silne i obrazowe.

Marian Piechal: Srebrna waga. Wydawnictwo J. Mortkowicza. T-wo wydawnicze w Warszawie 1937.

Już pierwszy wiersz p. t. „Dno" wprowadza nas w nastrój całego tomu. Jest to wyraźny epigonizm skamandrycki, tu i ówdzie jednak napotykamy oryginalną, świeżą nutę. Ujemną cechą poezji Piechala jest jej sentencjonalizm. Zamiast sugestywnych i przekonywujących obrazów, — słowo, omówienie, sentencja. Zdanie — *„nie ma normy na życie, a na śmierć lekarstwa"*, nie mówiąc już o jego banalności i z tej chociażby przyczyny pozbawione racji bytu w wierszu, jest jeszcze poza tym wyzbyte z wszelkich poetyckich walorów, raczej — felietonowe. To samo da się powiedzieć o następnym: *„...śmierć, która czyni życie jednem okamgnieniem"*. Jest to również prozaizm, nic nie mający wspólnego — mówiąc już stylem samego poety — ze słowem *„nabitym natchnieniem"*. Sentencja nie poparta przekonywującą sugestywną wizją poetycką pozostaje tylko pustym dźwiękiem, a pointa, na którą nie jest nastawiony cały wiersz, do której nie dąży w logicznej konsekwencji każda zwrotka, brzmieć musi podobnie fałszywie, jak zwrot następujący: *„...myśl jedna, od której serce jak dzwon wali, że jest cel i jest słońce. Słońce, w które wierzę."*. Wziąłem dla przykładu wiersz „Próba wiary", ale to samo można powiedzieć o wielu innych, np. *„...o, muzy! już koniec ze mną!"*, lub *„...wiem, że żaden Chrystus nie zbawi mnie beze mnie."* W wierszach tych brzmią niewątpliwie reminiscencje z poezji staffowskiej, ale daleko im do tej dojrzałej, poetyckiej głębi, do owego wspaniałego nurtu fizoloficznej poezji, która łączy w sobie mądrość z doświadczeniem, refleksję — z plastyką obrazu i metafory.

Marian Piechal jest jednak bezspornie poetą. Prawda: zbyt wiele jest w jego wierszach omówień i łatwizn. Ale to, co stanowi o talencie poety, drzemie na dnie każdego wiersza. Wśród namułu niepotrzebnych i mało plastycznych słów — dźwięczą piękne, głębokie, liryczne tony i lśnią prawdziwe, niefałszowane perełki jego muzy:

Duch melodji szedł trawą, szedł drzewem
Włókienkami, nerwami krętemi
Źdźbła najmniejsze rozbudzone śpiewem
Religijnie wyrastały z ziemi.

Wzruszający jest także wiersz p. t. „Dziedzictwo". Oto ostatni jego akcent:

Ojcze! Dziadku! ja życie tak samo mam
twarde,
Tylko serce wywrócone na nice.

Skoro Piechal otrząśnie się z balastu wytartych i nic już nie mówiących komunałów — wiersz jego stanie się prostszy i bardziej serdeczny.

Paweł Hertz: Szarfa ciemności. Warszawa. 1937. Nakł. Księgarni F. Hoesicka.

Stanowczo za dużo tych „lir", „chórów", „róż", „bladych czół", „muz", „snów", i „nadziei"! To już nie jest poezja. Te wszystkie rekwizyty spoczywają w spokoju (requiescant in pace!) w lamusie pamiątek poetyckich. Pocóż je wskrzeszać, jaką rolę spełnić mogą w dzisiejszej poezji? Ta pseudo powaga, ten klasyczny jakby chłód, bijący z wierszy Hertza, jest dla młodego poety co najmniej — dziwny i nie zrozumiały. Ulegamy wrażeniu, że Hertz eliminuje jakby umyślnie wszystkie żywsze odruchy swego temperamentu tylko po to, by dać wiersz spokojny, „klasyczny" i zrównoważony. Nie ma tu prawie nigdzie jakiegoś żywego, autentycznego przeżycia, które stanowi o dynamice wiersza, o jego sile wyrazu, o jego konieczności, a które jest przecież jednocześnie inspiracją i początkiem każdego tworu sztuki. Wiersze Hertza są raczej przemyślane niż przeżyte, są w pewnym sensie — wyintelektualizowane, rozumowo wykoncepowane. I stąd tyle rekwizytów dawnej poezji, które służyć mają jako „strój odświętny" dla tych właśnie pomyślanych wierszy. Jak może do nas dziś przemówić taka naprzykład zwrotka:

Gwiazda znakiem mądrości waha się
nad tobą,
śmiertelny, jak nie wiele zostaje z piękności!
odchodząc, zapamiętam aż po ciemność
grobu
źrenice nieruchome — dwie strzały
miłości.

Zwłaszcza — ta „ciemność grobu" i te „dwie strzały miłości".

Szukamy więc jakiegoś żywego obrazu, mocnej i olśniewającej metafory, która by swym blaskiem rozjaśniła na chwilę szarfę ciemności. Znajdujemy. Gdzieniegdzie bowiem rozsypał Hertz lśniące perełki swego talentu. *„To nie planeta uciekał z lazurów, ja odchodziłem jak rzeźbiarz milczenia"*. W tym dwuwierszu jest wiele poezji i rozmachu. W ogóle wszędzie tam, gdzie Hertz zrywa ze skostniałym szablonem — jest ciekawy, a nawet frapujący.

„A my tymczasem w parkach słuchając
powieści
nieśmiało przeczuwając jak epoka ginie
czekamy ,co ostatnia karta wyszeleści..."

Nie ma tu już żadnych cmentarzy, bladych czół, muz i aniołów. Jest to szczera, bezpretensjonalna wypowiedź poety.

Melania Waserman

Podróże

Jakże ci to opowiem, jakże wytłumaczę
choć mówiliśmy o tym i często i dużo,
że nie raz po nocach wstyd mi, ale płaczę
z tęsknoty za podróżą?

Samolot wsysa błękit wirującym śmigłem,
auto szeleści po asfalcie miękką gumą opon, —
cóż mi po życiu, szarym, stęchłym i obrzydłym,
gdy śmiejesz się wszystkimi gościńcami, Europo!...

Modry Dunaj, Rzym, Florencja, Moskwy Plac Czerwony,
Liliowy zmierzch, jedyny w świecie zapach: Paryż —
Wszystko w sobie pomieszczę, wszystko w siebie wchłonę,
czar podróży bije do głowy jak winne opary.

Ech, pocóż o tym myśleć? Serce truć goryczą?
Jest w Warszawie wiadukt, nad tunelem rozpięty,
Stanę, oprę się o poręcz, wagony policzę,
jadące w świat — do Wiednia, Brukseli, Ostendy.

Iskier wytrysk z paleniska, jak pióropusz złoty,
dym się snuje w dole, jak woale śnieżne,
za gardło chwyta tęskny gwizd lokomotywy.
Pędzą pociągi.
Jakie to piękne słowo: dalekobieżne.

ANTENA ŚWIATA

Niemiec Haber

Otto Dietrich, kierownik prasy nazistowskiej w III Rzeszy, drukuje w esseńskiej „Nationalzeitung" cykl artykułów pod tytułem: „Most nad nowym światem".

W jednym z ostatnich numerów opowiada, w jaki sposób Niemcy dzięki „swej wyjątkowej inwencji" zdołały przełamać monopol niektórych krajów na przedmioty pierwszej potrzeby. „Jak możnaby było zaopatrzyć Niemcy w chleb — pisze Dietrich — gdyby nie sztuczne nawozy. Jedynie umysł ludzki mógł dzięki nowoczesnej chemii rolniczej potroić zbiory światowe i dać w ten sposób milionom istnień możliwość egzystencji. Tak więc monopol saletry chilijskiej został przełamany dzięki Luftstickstoff Niemca Habera. Sam przemysł Luftstickstoffu żywi około 200 tys. niemców".

A sławiąc w dalszym ciągu geniusz niemiecki, szef prasy nazistowskiej zapomniał dodać, że Niemiec Haber to nikt inny jak — żyd Fritz Haber, profesor elektro-chemii na uniwersytecie berlińskim i dyrektor Kaiser-Wilhelm Instytutu w Berlinie. Tak bardzo zasłużony profesor Haber został wygnany ze swych laboratoriów i w wieku 68 lat zmuszony był opuścić Niemcy. Zmarł w rok po przyjściu do władzy Hitlera na wygnaniu w nędznym hoteliku w Bazylei.

Francja brata się z murzynami

Prasa niemiecka narobiła wiele hałasu z powodu uroczystego obchodu, jaki Francja przygotowuje posłowi Caudoce'mu, przedstawicielowi murzyńskich kolonii, piastującemu swój mandat już 25 lat. „Herriot pozdrawia swego czarnego brata, a Sarraut obsypuje go pocałunkami" — tymi słowy rozpoczyna jedno z pism nazistowskich swój artykuł: „Sądziliśmy, że podobne rzeczy są nie do pomyślenia nawet w tej Francji, tak bardzo „zamurzynionej". Wydaje nam się, że pod rządami „Front populaire" znikły we Francji ostatnie ślady honoru rasowego. Braterstwo białego z czarnym jest dozwolone w kraju, który uchodzi za depozytarjusza kultury zachodniej. To bratanie się przestaje być sprawą czysto francuską: zaczyna ono zagrażać bezpieczeństwu europejskiemu... Trzeba będzie na przyszłość przyzwyczaić się do myśli, że „wielka rodzina francuska" posiada w swym łonie murzynów i że, postępując w ten sposób, Francja zmuszona będzie zrzec się zaszczytnego tytułu „wielkiego narodu".

Zamach na prof. Bratu

W Rumunii miał miejsce nie dawno zamach na prof. Bratu, liberalnego rektora uniwersytetu w Jassach. Zamach, przygotowany i wykonany przez członków faszystowskiej „Gwardii żelaznej", poruszył całą nieomal opinię publiczną w Rumunii. Profesor Bratu uniknął śmierci cudem lecz stan jego wciąż jeszcze jest poważny. Szczegóły, które nadchodzą z Rumunii rzucają światło na przestępczą działalność terrorystów spod znaku „Gwardii żelaznej", reorganizowanej obecnie pod nazwą „wszystko dla Ojczyzny". Patrioci ci obrali system trójkąta dla uśmiercania swych ofiar. Trójkąt nie daje zaatakowanemu najmniejszej nadziei ocalenia, ani możliwości wzywania pomocy. System ten zastosowano w stosunku do profesora Bratu; każdy ze spiskowców miał specjalną rolę; jeden trzymał mocno profesora za ramiona, aby mu nie dać możliwości bronienia się, drugi zatkał napadniętemu usta, aby mu uniemożliwić wzywanie pomocy, trzeci natomiast zadawał profesorowi uderzenia nożem w plecy i kark.

Jak widzimy, odwaga tych bohaterów narodowych nie zezwala na inny rodzaj walki, jak atakowanie przeciwnika z tyłu, w plecy...

Co najciekawsze — napastnicy przekonani, że ofiara ich już niedługo wyzionie ducha, zatroszczyli się naraz o... duszę profesora. Natychmiast po dokonaniu napadu zatelefonowali do księdza z prośbą, aby zechciał udzielić profesorowi Bratu ostatnich sakramentów.

Niech Bóg ma w opiece Franklina I

Wychodzący w Detroit „Times" podaje zabawny pomysł studentów uniwersytetu w Yale, który z hasłem „ukoronujmy Roosevelta" przystępują do utworzenia na terenie Stanów Zjednoczonych ligi rojalistycznej dla ustanowienia rządów monarchistycznych na korzyść obecnego pana Białego Domu. Studenci z Yale rzucili tę myśl w formie żartu — lecz jakież było ich zdumienie, gdy znaleźli się liczni obywatele, traktujący ten pomysł serio. Studenci spośród swych różnorodnych haseł wysuwają między innymi konieczność natychmiastowej koronacji „Króla Franklina" i „Królowej Eleonory". Proponują przemianowanie Washingtonu w dniu koronacji na „Franklintown" i cały szereg innych zabawnych zmian. Aby uzasadnić ten swój żart studenci przypominają, że w ciągu ostatnich 6 miesięcy prezydent Roosevelt wykazał tyle zainteresowania dla prywatnych spraw monarchii brytyjskiej, że najpewniej sam stał się zwolennikiem regime'u monarchicznego. A jeśli ma rządzić w Stanach król — to któż bardziej godny jest tego stanowiska, jak tak bardzo przez wszystkich lubiany i szanowany, prezydent Roosevelt

Pierwsze Locarno

W związku ze śmiercią jednego z współtwórców paktu lokarneńskiego oraz podawanymi ostatnio próbami stworzenia t. zw. paktu zachodniego czyli drugiego Locarna, podaje paryska „Marianne" głosy prasy europejskiej z października 1925 r., to jest tuż po zawarciu paktu, które jako bardzo charakterystyczne przytaczamy:

WOJNA JEST SKOŃCZONA.

Uporczywemu pragnieniu narodu angielskiego nareszcie stało się zadość. A to dzięki wspaniałemu aktowi pojednania, którego Wielka Brytania sama również jest poręczycielką. Wojna skończona! Zaczyna się nowa era pokoju. (Times).

...NA ZAWSZE.

Liga narodów, która obecnie zjednoczy sprzymierzeńców i eks-wrogów, zapewni, dzięki swemu wpływowi i autorytetowi, ciągłość pokoju na zawsze...

(Westminster Gazette).

„TANDEM" BRIAND — CHAMBERLAIN.

W tym przedsięwzięciu, którego Briand był duszą, a które doprowadził do końca niewyczerpanymi środkami swej dyplomatycznej pomyślności, odgrywał Chamberlain nie mniej ważną rolę pojednawcy. Przy czym również z powodzeniem, ponieważ okazał się w każdym wypadku pewnym sprzymierzeńcem naszego kraju.

(Petit Journal).

CZYŻBY REWIZJA TRAKTATÓW?

Dla Rzeszy stanowi konferencja lokarneńska środek do rewizji traktatu wersalskiego i do realizacji pokoju, opartego na prasie i pojednaniu narodów.

(Berliner Tageblatt).

KONIEC KURSU ZBROJEŃ...

Taka zgodność powinna szczęśliwie odbić się na sytuacji finansowej krajów europejskich, znosząc konieczność strasznych zbrojeń

(deklaracja prezydenta Coolidge'a).

RACZEJ STANY ZJEDNOCZONE EUROPY...

To co Niemcy wygrały w Locarno stanowi niezwykły postęp nie tylko dla Rzeszy, lecz jeszcze dla całości Europy i dla Konfederacji Stanów Europejskich... (Georg Berndardt. Vossische Zeitung)

SOWIETY POZOSTAJĄ NIEUFNE...

Niemcy skapitulowały w Locarno i stały się cytadelą dla awantur wojskowych Entente'y. Pakt francusko-niemiecki gwarantuje nie pokój lecz wojnę. (Izwiestja).

WŁOCHY ZACHOWUJĄ REZERWĘ...

Szczęśliwy wynik konferencji stanowi czynnik pierwszej klasy dla utrzymania pokoju. Jednakowoż dla reorganizacji Europy należy przebyć drogę usianą licznymi rafami... (Picoolo. Rzym).

MILITARYZM NIEMIECKI NIE UMARŁ...

Naród niemiecki powinien zachować jaknajdalej idącą nieufność w stosunku do swoich przeciwników. Powinniśmy uważać za niemożliwe, że delegacja niemiecka zezwoliła na tekst zawierający zrzeczenie się przez nas Alzacji i Lotaryngji. Paryżanie mówiąc o tej naszej zgodzie oszukują siebie i innych.... (Lokal Anzeiger).

PRZEBUDZENIE SIĘ BĘDZIE STRASZLIWE...

System Locarna funkcjonować będzie tak długo, jak długo Niemcy będą pacyfistyczne i okazywać będą dobrą wolę. Żaden punkt paktu nie omawia możliwości, że szukać będą okazji do zmiany mapy Europy. (Pertinax. Echo de Paris)

Pozostawiamy czytelnikowi ocenę, który z przytoczonych głosów jest dziś naprawdę jeszcze aktualny.

CHAMBERLAIN O BLUMIE.

Zmarły Austin Chamberlain uchodził za konserwatystę starej daty, czego dawał dowody przy najrozmaitszych okazjach.

Po utworzeniu się Frontu Ludowego we Francji, odwiedził go pewien dziennikarz z pisma konserwatywnego.

— Czy nie obawia się Pan tego Bluma?

— Nie, odrzekł Chamberlain, nie obawiam się go bardziej aniżeli mój ojciec Disraeli'ego.

Chamberlain porównywał często francuskiego premiera do Disraeliego, a podczas swego ostatniego pobytu w Paryżu publicznie głosił chwałę rządu, który kieruje Francją od maja roku ubiegłego. (Ly).

Położenie inteligencji żydowskiej

(dokończenie ze str. 3-ej)

dzo nie zmniejszy, ale Żydów od udziału w tym napływie prawie że usunie.

W tej chwili więc położenie adwokatury żydowskiej jest opłakane, a jako zawód dla przyszłych pokoleń inteligencji żydowskiej — adwokatura swoje znaczenie utraci już w bliskiej przyszłości.

Technicy żydowscy... Ci, niestety, zajmują się więcej handlem, jako reprezentanci firm technicznych i sprzedawcy technicznych artykułów, — niż zawodem własnym. Nie ich to jest winą, że nie mogą znaleźć zastosowania dla swojej wiedzy i swoich zdolności. Posady urzędowe, stanowiska w państwowych przedsiębiorstwach — są dla nich prawie że niedostępne. To samo dotyczy naogół i przedsiębiorstw samorządowych z pewnymi nielicznymi wyjątkami. Wielki przemysł jest w rękach nieżydowskich i i żydowskich inżynierów zatrudniać nie chce. Co gorsza, nawet te nieliczne średnie i większe przedsiębiorstwa, które należą do Żydów, zazwyczaj bądź niechętnie i tylko w małej ilości zatrudniają inżynierów żydowskich, bądz kategorycznie odmawiają dania im zatrudnienia, licząc się z nastrojem ogółu konsumentów, z niechęcią własnych robotników i pracowników, no, i z potrzebą utrzymania dobrych stosunków z władzami. Te nastroje antyżydowskie sięgają tak daleko, że nawet większość firm zagranicznych, posiadająca przedsiębiorstwa swoje w Polsce, czy nawet swoich reprezentantów, Żydów zagranicznych, a należąca do ludzi, nic wspólnego z antysemityzmem nie mających, potępiających go szczerze — odmawia zatrudnienia inżynierów żydowskich w obawie przed rozmaitymi komplikacjami i trudnościami. Znaleźć więc zatrudnienie w swoim zawodzie Żyd-inżynier może zazwyczaj tylko o tyle, o ile posiada odpowiedni kapitał(by założyć własne przedsiębiorstwo techniczne. Ogół inżynierów żydowskich chodzi bez pracy i nic dziwnego, że ima się handlu, by uratować się od ostatecznej nędzy. Bezrobocie wśród techników żydowskich jest tak zastraszające, że stosunki w medycynie, a nawet w adwokaturze wydają się im Ziemią Obiecaną.

Natomiast są istotnie jeszcze pewne zawody, gdzie inteligent żydowski może mieć widoki na uzyskanie pracy, ale zawody te z natury rzeczy, bądź też wobec coraz bardziej wzrastającej nędzy ekonomicznej żydostwa nie są w stanie dać zatrudnienia zbyt wielkiej ilości kandydatów. Są to zawody, że tak powiem, wewnętrzno - narodowe, obliczone wyłącznie na żydowskiego konsumenta. A więc szkolnictwo żydowskie prywatne, powszechne i średnie, bądź z językiem wykładowym polskim, bądź z hebrajskim, czy żydowskim. A więc prasa żydowska, niezależnie od swojego języka, i pewna część prasy polskiej, obliczonej głównie na czytelnika żydowskiego. A więc instytucje społeczne żydowskie, zarówno o charakterze publiczno-prawnym, jak np. gminy wyznaniowe, jak i charytatywno-socjalnym, jak TOZ, towarzystwa emigracyjne, związki spółdzielcze, stowarzyszenia oświatowe, opieka nad sierotami i dziećmi i t. p. Wszakże wszystkie te instytucje posiadają zbyt szczupłe fundusze, by zatrudniać większą ilość inteligencji żydowskiej, a tymbardziej by ją należycie uposażyć, a poza tym opłakane i stale pogarszające się położenie gospodarcze żydostwa polskiego nie tylko, że nie wróżą im pomyślnego rozwoju, lecz przeciwnie nasuwają obawy, że będą one musiały stopniowo się likwidować.

Horoskopy tedy inteligencji żydowskiej w Polsce, w najbliższej przyszłości nie należą do najweselszych. Nie należy jednak poddawać się rozpaczy i opuszczać rąk. Żydostwo z tylu opresji w ciągu swojej wielowiekowej historii wyszło szczęśliwie, że i z tej — spodziewać się należy — wyjdzie obronną ręką. Zwłaszcza, że nie podobna uwierzyć, by stan permanentnej walki z Żydami w Polsce trwał wiecznie, by nie znikła w końcu ta psychoza antysemicka, ogłupiająca społeczeństwo, odwracająca jego uwagę od istotnych zadań i dróg do polepszenia sytuacji gospodarczej Państwa, i prowadząca kraj do coraz większej anarchii społecznej i gospodarczej, do coraz większej nędzy. Z przeminięciem tej psychozy społeczeństwo polskie zabierze się do rzetelnej pracy i znajdzie właściwe drogi do podźwignięcia kraju z nędzy, poza walką ze straganami, czy ubojem rytualnym. A wraz z poprawą sytuacji gospodarczej kraju osłabnie jeszcze więcej antysemityzm i okaże się, że jest jeszcze dość pracy w kraju i dla żydowskiego inteligenta. Sytuacja inteligencji żydowskiej będzie musiała wówczas ulec poprawie.

Ma się rozumieć, i ta poprawa nie rozwiąże ostatecznie problemu inteligencji żydowskiej w Polsce, podobnie jak nie będą rozwiązane problemy tej inteligencji, istniejące już w innych krajach licznych skupień narodu żydowskiego, lub te, które nieuniknienie jeszcze powstaną. Ale te nierozwiązalne części problemu — wierzymy — będą rozwiązane w żydowskiej Palestynie, która w międzyczasie rozwinie się, okrzepnie i stworzy dostateczną liczbę placówek pracy dla inteligentnych sił żydowskich, nie mogących znaleźć zastosowania w diasporze.

Apolinary Hartglas.

KINO

„TEODORA ROBI KARIERĘ"
COLOSSEUM

Amerykańska produkcja komediowa wytworzyła sobie w ostatnich latach swój własny, odrębny, nigdzie jeszcze nie naśladowany typ komedii. Protoplastą tego kierunku jest arcyintelig. reż. Lubitsch, a pierwsze filmy tego gatunku — to niezapomniane jego „Złote sidła" i „Sztuka życia". I od tej pory, ilekroć na afiszach pojawia się nazwisko Lubitscha, czy to jako reżysera, czy kierownika produkcji, — oczekuje się filmu specyficznie barwnego, o błyskotliwym, skrzącym się dowcipie i lekkiej umiejętnie stosowanej ironii. Często te nadzieje, związane z nazwiskiem Lubitscha, zawodzą, a ostatnio co raz częściej pojawiają się tego rodzaju komedie amerykańskie, nie mające nic wspólnego z nazwiskiem tego bodaj że najzdolniejszego reżysera.

I właśnie ostatni film Bolesławskiego ma wszelkie znamiona iście lubitschowskiej komedii. Z tą różnicą tylko, że Bolesławski patrzy na wszystko przez pryzmat jeszcze ostrzejszej, acz nieszkodliwej, ironii; jego satyra jest mocniejsza i dosadniejsza. I tak też trzeba na ten film patrzeć — jak na satyrę. Tylko wtedy można pogodzić się z często wręcz karkołomnymi przeskokami sytuacji, z brawurowym tempem akcji i z całym szeregiem szczegółów pozornie niezrozumiałych, — wręcz doskonałych, gdy wyświetlane są pod kątem satyry.

Prowincjonalne miasteczko Lyndefield, oglądane w krzywym zwierciadle humoru, zdumiewa po prostu mnóstwem cudownie podpatrzonych śmiesznostek, szeregiem rysów najtrafniej podchwyconych. Nawet tak zdawałoby się nieprawdopodobne triumfalne przyjęcie grzesznej córy tego grodu daje się wytłumaczyć zakłamanym kołtuństwem i snobizmem kumoszek lynudefieldskich.

Irena Dunn, jedna z najwytworniejszych, najkulturalniejszych aktorek Ameryki, w pierwszej swej komediowej roli zdumiewa temperamentem, wdziękiem i najszczerszym poczuciem humoru. Metamorfoza cnotliwej panny Lynn w rozhukaną, a nawet rozwydrzoną Karolinę Adams — w jej interpretacji jest całkiem prawdopodobna, mimo częstego braku logiki tej postaci, która zachowaniem swoim przypomina raczej diwę kabaretową, niż popularną literatkę. Ale nie należy jej tego mieć z złe. Trzeba pamiętać jaki cel przyświeca jej w tym robieniu dokoła siebie hałasu — i spojrzeć na nią tak, jak ona patrzy na siebie i świat — z poczuciem humoru.

Wypada jeszcze zaznaczyć, że film posiada inteligentny, dowcipny dialog.

T. S.

Korespondencja z Palestyny — w następnym numerze

KRONIKA LITERACKA

JUBILEUSZ 75-LECIA R. BREININA

Z inicjatywy Związku Literatów im. I. L. Pereca w Nowym Jorku odbyła się uroczysta akademia dla uczczenia 75-lecia urodzin znanego pisarza hebrajskiego Reubena Breinina. Przemówienia o zasługach literackich i społecznych literata wygłosili m. in. J. Opatoszu, Sz. Niger. Przemówienie hebrajskie wygłosił Izrael Matz. Z powodu złego stanu zdrowia Breinin sam nie mógł przybyć na akademię, przemówienie jego zostało więc odczytane.

ZGON PAULA WERTHEIMERA

W 64-tym roku życia zmarł we Wiedniu świetny felietonista i literat Paul Wertheim. Zmarły należał do grona bliskich przyjaciół Artura Schnitzlera, w którego mieszkaniu zetknął się z Teodorem Herzlem i zawarł z nim wieloletnią znajomość. W ostatnich latach swego życia zbliżył się Wertheim do żydowskich kół narodowych i często informował w „Neue Freie Presse" o żydowskim teatrze i żydowskich imprezach artystycznych.

„WIADOMOŚCI LITERACKIE" IDĄ „NA PRAWO"?

W „Polityce" (w dawnym „Buncie Młodych") ukazała się interesująca notatka p. Stefana Kisielewskiego w sprawie prądów prawicowych, panujących obecnie rzekomo w redakcji „Wiadomości Literackich". W notatce tej czytamy:

„Wszyscy zgodnie przyznają, że „wiatr narodowy" wieje. Odczuł to nawet p. Grydzewski i jako człowiek przewidujący wysuwa próbne wiatraczki. Zaczęło się od Pruszyńskiego, teraz zaś w każdym prawie numerze „Wiadomości" coś kokieteryjnego wobec „Boga i Ojczyzny" się znajdzie. Ostatnio (Nr. 12) na poczesnym miejscu mamy list Kossak-Szczuckiej, która przyznaną jej nagrodę czytelników „Wiadomości Literackich" poleca przesłać urzędowi parafialnemu w Górkach Wielkich na... odnowienie kościoła. Tak, tak — w dzisiejszych czasach trzeba mieć głowę na karku i pilnie uważać, skąd wiatr wieje!"

Odpowiedzi Redakcji

MIECZ. O. WARSZAWA: Z wierszy pańskich nie skorzystamy. Nie zdradzają one talentu poetyckiego.

H. L. BYDGOSZCZ: Przekład Bialika — niedobry.

IŻ. TAZ. ŁÓDŹ: Z wywodami pańskimi zgadzamy się.

INŻ. S. Z. SOSNOWIEC: Za artykuł dziękujemy. Nie skorzystamy. Jest za bardzo specjalny.

SERW. KRAKÓW: Artykuł bardzo dobry, ciekawy, z temperamentem napisany. Zamieścimy. Prosimy o dalszą współpracę.

HERM. B. LWÓW: Prosimy o większy wybór wierszy.

S. SCH. KATOWICE: Adresu nie znamy. Poinformuje „Queridoverlag" w Amsterdamie.

MGR. M. F. LWÓW: Dziękujemy za ofiarowaną współpracę, z której jednak nie będziemy mogli skorzystać, gdyż nie reflektujemy na korespondencję lokalną.

DR. JAKUB L. KRAKÓW: Dziękujemy za ofiarowaną współpracę. Na korespondencje lokalne nie reflektujemy.

M. D. CZĘSTOCHOWA: Z wywodami pańskimi zgadzamy się.

O. P. MIKULICZYN: Z artykułu nie skorzystamy.

M. F. STRYJ: Dziękujemy za miłe słowa. Z recenzji nie skorzystamy.

DR. M. S. ŁÓDŹ: Zgadazamy się z pańskimi wywodami. Serdecznie dziękujemy za słowa uznania.

L. WARSZAWA: Wiersz ciekawy. Wydrukujemy. Prosimy o osobiste skomunikowanie się z redaktorem.

SZ. WARSZAWA: Zamieścimy. Prosimy o dalszą współpracę.

MGR. H. B. LWÓW: Przekład niepoetycki. Nie skorzystamy.

ALFA: Nie zamieścimy.

S. D. WARSZAWA: Z przekładu nie skorzystamy.

DR. JÓZEF L. KRAKÓW: Dziękujemy za przesłane artykuły. Zachowujemy je w tece.

Ż. S. WARSZAWA: 1) Tak; 2) Książka wydana w r. 1895 w Petersburgu; 3) Zamieścimy.

WIL. H. ŻYRARDÓW: Jest pan w błędzie. O takim wypadku nigdy nie słyszeliśmy.

CH. SK. TARNÓW: Dziękujemy. Nie zamieścimy. Adres: Paris, rue Lamandé 15.

BOL. ZYL. WARSZAWA: Z wywodami pańskimi nie zgadzamy się.

Prenumerata: miesięczna 1 zł. 20 gr., kwartalna 3 zł. 50 gr., za granicą kwartalna 5 zł.
Ceny ogłoszeń: za m/m za tekstem 80 gr., w tekście 1 zł. Strona zawiera 5 szpalt. Na stronę pierwszą ogłoszeń nie przyjmuje się.

Redaktor: Dr. M. KLEINBAUM Wydawca: TOW. WYD. „STER" sp. z o. o Redaktor odpowiedzialny: A. KLARMAN.

Druk. B-ci Wójcikiewicz. Warszawa